

Wielisławka, Herbert Klose i ZŁOTO WROCŁAWIA.

Odcinek 1.

Mija właśnie 65 lat od kiedy polskie społeczeństwo dowiedziało się o złocie Wrocławia. A może raczej od chwili, w której, jeśli chodzi o ukryte przez Niemców skarby, zaczęto mu skutecznie mydląc oczy. Trudno powiedzieć, kto w tej sprawie odegrał główną rolę w mataczeniu i zacieraniu. Herbert Klose? A może to Urząd Bezpieczeństwa Publicznego poddał sprawę obróbce? Skarbu nie znalazł nikt, choć od dawna jest on poszukiwany, choć raczej nie tam, gdzie jest, a dokładnie tam, gdzie życzyli sobie tego Herbert Klose do spółki z bezpieką.

Na początek fakty.

Przełom 1944 i 1945 roku jest na Śląsku dość... powiem oględnie gorący. Niemcy wiedzą, że Armia Czerwona szykuje się do operacji przekroczenia linii Wisły i marszu na zachód, do Berlina, do Łaby. I wiedzą, jak ten marsz wygląda. Od 1943 roku docierają i na Śląsk i do innych części Niemiec uciekinierzy z obszarów, które zajmują sowieckie wojska. Klęska militarna to jedno. Z pewnością mocno podkopuje morale Niemców. Sprawia, że tracą wiarę w nieomyślność Adolfa Hitlera i ostateczne zwycięstwo. Ale dla zwykłych ludzi bardziej dotkliwie są przestępstwa, wręcz zbrodnie popełniane przez Sowietów. Gwałty na kobietach, którym towarzyszą rabunki i grabieże. Fakt, Rosjanie mają co kraść. Niemcy są bogaci. Głównie w kradzione. Niemcy przez tych kilka lat okradali całą Europę, gdzie i jak tylko mogli, a część łupów odsyłali do domów. Urzędnicy sprawujący na zdobytych terenach władzę, żołnierze, którzy te ziemie zajmowali... Funkcjonariusze nadzorujący obozy jenieckie, obozy koncentracyjne czy Arbeitskommanda, oddziały pracy przymusowej. Betreuerzy opiekujący się mieniem pożydowskim, znacjonalizowanymi przez Rzeszę fabrykami i warsztatami, szczególnie o statusie „zakładu niezbędnego na potrzeby wojenne Rzeszy”. Kradli na potęgę. Obrazy i biżuterię, obrączki, zegarki, sztucce ze złota czy srebra... Dużo tego jest w niemieckich domach. Jest zatem co chować.

Gauleiter (szef okręgu organizacyjnego NSDAP) Wrocławia Karl Hanke wydaje w listopadzie 1944 roku odezwę do mieszkańców, aby w obliczu nadchodzącej bolszewickiej nawały przekazali do państwowego depozytu złoto, kosztowności i dzieła sztuki. Gauleiter to nie byle kto. W hitlerowskiej Rzeszy układy są podobne do tych, które znamy z czasów PZPR z naszego polskiego podwórka. I Sekretarz Komitetu (gminnego, powiatowego, wojewódzkiego czy centralnego) ma więcej do powiedzenia, niż nacelnik miasta, powiatu, wojewoda czy premier. Jego decyzje są warte tyle, co ustawa. A skoro Gauleiter wzywa do oddawania złota i kosztowności na przechowanie, należy to zrobić. Za pokwitowaniem, a jakże. Propaganda niemiecka wspiera jego działania pełną mocą. Prasa jest pełna relacji uciekinierów z Łotwy, Estonii czy Prus Wschodnich, gdzie Sowietci już dotarli. Obrazu mordów, gwałtów, grabieży i bezmyślnego niszczenia wszystkiego, co akurat znajdzie się pod ręką pijanych sowieckich żołdaków. Tyle, że prasie partyjno-państwowej (innej w hitlerowskiej Rzeszy nie było), pełnej frazesów o ostatecznym zwycięstwie, mało kto wierzy. Ale nie w tym wypadku. Do zmienianego właśnie w twierdzę Wrocławia docierają tysiące uciekinierów, którym udało się uciec ze wschodu. Poczta pantoflowa pokazuje prawdziwy, bo opowiedziany przez ziomków obraz barbarzyństwa nadciągających wojsk sowieckich i ich sojuszników. Ponadto działa niemiecka mentalność. Jest rozkaz, to należy go wykonać. I ludzie niosą swoje dobra do depozytu. Skarby

przyjmował Wyższy Urząd SS i Policji we Wrocławiu mieszczący się w gmachu dawnej Miejskiej Komendy Policji (obecnej siedzibie części Dolnośląskiej Komendy Wojewódzkiej Policji).

Jednym z odpowiedzialnych za wywiezienie i ukrycie tego skarbu był niejaki Herbert Klose. Przynajmniej tak twierdził on sam i wypowiadający się publicznie byli funkcjonariusze bezpieki. Posłuchajmy zatem ich zgodnych, przynajmniej tak się wydaje, opowieści.

Jest wiosna roku 1953. Za naszą wschodnią granicą od dwóch lat trwa akcja likwidacji niemieckich cmentarzy wojskowych. Przy okazji Sowietci, dzięki nieśmiertelnikom, identyfikują pogrzebanych tam niemieckich żołnierzy a Międzynarodowy Czerwony Krzyż udostępnia dane. Imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, stopień wojskowy, adres. Wśród niemieckich poległych są też Ślązacy, Mazurzy, Warmiacy. Wielkopolanie. Ich dane są przekazywane polskiej bezpiece. Do sprawdzenia. Rodzina uciekła czy została? Bo jak została, to przecież niemieccy wrogowie. Jeśli ojciec czy syn walczył dla Hitlera, to jabłko nie pada daleko od jabłoni. Wyszukać, zatrzymać, przesłuchać, wymusić przyznanie się do winy. Naród musi mieć wroga, najlepiej obcego. Aby nie mówiono o zbrodniach bezpieki... Zbrodniach okresu Stalina i jego siepaczy.

Akta meldunkowe są uporządkowane. Dzięki nim Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Złotorii dostaje do sprawdzenia małżeństwo Marii i Ryszarda (czy właściwie Richarda), mieszkańców Sędziszowa. Oboje urodzeni w małej wsi Kopice w powiecie milickim. On w 1919 roku, ona rok później. On, jak stoi w papierach, miał być weterynarzem i opiekunem koni używanych do prac leśnych, ona pracowała przy obsłudze dużego gospodarstwa bogatych Niemców... Tak przynajmniej mówią w maju 1945 roku, gdy proszą o możliwość pozostania w Sędziszowie. My byli wiejska biedota, swojej ziemi nie mieli, domu też nie, krewni albo uciekli wiosną 45-go na zachód albo słuch po nich zaginął... Obywatel komisarz zrozumie, my polskiego pochodzenia. Dla Niemców jak wrogowie. Dlatego nas na przymusowe roboty wzięli i tu przywieźli. Tu przynajmniej dach nad głową, pole, zwierzęta, miejsce, które znamy z naszej pracy.

Miejscowi Niemcy w większości już uciekli, osadnicy byli na wagę złota. Maria i Ryszard dostali przydział na dom, ziemię, meldunek, dokumenty i tak zostali. Pod koniec kwietnia 1953 roku przyjeżdżają do Sędziszowa dwa samochody bezpieki. Aresztują oboje. Z wielu relacji wiadomo, że przesłuchanie w siedzibie bezpieki przebiegało zgodnie z ichnimi regułami. Na początek cios pięścią w zęby, pałowanie... I żeby człowieka szybko złamać, papiery na stół. Richard zginął w 1942 roku w walkach o Smoleńsk a Maria dostawała, do wiosny 1945, wdowią rencję po poległym żołnierzu. Niewielką, ale dostawała... Chcesz być trup jak Richard? Nie chcesz? To gadaj prawdę!

Mężczyzna nie należy do twardzieli. Bardzo szybko wyjawia, kim jest. Herbert Klose. A dalej? Będzie zmieniać wersje raz po raz. Mówi, że był wojskowym weterynarzem zatrudnionym w Kątach Wrocławskich. Tam miała funkcjonować placówka Wehrmachtu skupująca konie dla wojska. No niby wiarygodne, bo przecież koń dla wojska to musi być zdrowy i zadbany. Zanim Rzesza kupi, ktoś konia musi obejrzeć, fachowo zbadać, a i potem, zanim odjedzie na front, doglądać. Kiepski weterynarz zapewne się nada. I pan Klose jakby przestaje kręcić. Mówi, że ma nawet w domu fotokopię dyplomu z berlińskiego uniwersytetu. Na jego nieszczęście zachowały się archiwa placówki wojskowej w Kątach Wrocławskich. Punkt skupu koni był. Fakt. Są nawet listy płac żołnierzy służących w tej małej jednostce. Bo jak żołnierz w czynnej służbie, to dostaje żołd, składkę emerytalną ma opłacaną.

Wiadomo, niemiecki porządek. Tylko weterynarza Herberta Klose w tych papierach nie ma. Do akcji ponownie wchodzi specjaliści od przesłuchań. Klose zmienia zeznania. Staje się oficerem wywiadu zatrudnionym w Wyższym Urzędzie SS i Policji we Wrocławiu. Książka telefoniczna mieszkańców Wrocławia od roku 1941 wydaje się tą wersją potwierdzać. Przy Neuschweidnitzer Straße (czyli dzisiejszej ulicy Świdnickiej) pod numerem 41 widnieje Herbert Klose. Przy nazwisku informacja „Polizeiangeestellte”, urzędnik policyjny. Tyle, że od 1936 roku w Prusach, z rozkazu premiera Prus Hermanna Göringa, policja została połączona z SS i Gestapo. Maszyna działająca pod nazwą Reichssicherheitshauptamt. RSHA. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. W 1943 roku do działającej w ramach RSHA służby bezpieczeństwa Sicherheitsdienst zostaje włączony wywiad wojskowy, Abwehra. Kapitan Abwehry??? Ta wersja długo się nie utrzyma, ale w wielu materiałach prasowych czy telewizyjnych będzie uporczywie powtarzana. Aby być oficerem armii (a Abwehra, nawet po włączeniu w struktury SS, SD i RSHA, jest służbą podlegającą armii) trzeba ukończyć studia albo szkołę oficerską. Herbert Klose studiów nie ma. Weterynarz miał w czasie wojny uprawnienia felczera. Takiej nieco bardziej fachowej pomocy medycznej. Więcej niż sanitariusz, choć nie całkiem lekarz... Dyplom weterynarza okazuje się sfałszowany. Szkoły oficerskiej też nie skończył. Nie ma pana Klose w rozporządzeniach Kancelarii Prezydenta Rzeszy Niemieckiej o promocjach na pierwszy stopień oficerski czyli porucznika.

Herbert Klose natychmiast przyznaje się do winy i zmienia zeznania. Już nie weterynarz ale rzeźnik. I nie oficer Abwehry ale funkcjonariusz policji. Policji? A konkretnie? Śledczy mają już informację z Katowic. Herbert Klose był tam śledczym w Gestapo. A teraz siedzi przed śledczymi Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Trafił swój na swego. Klose wie, że wycisną z niego wszystko. Metodami, które on sam stosował do wiosny 1945 roku. Tak, był śledczym w Gestapo. Wydobywał zeznania z więźniów we Francji, w Holandii, na Górnym Śląsku. W Katowicach idzie mu najlepiej, bo jako Ślązak spod Milicza zna dość dobrze słowiańską gwarę. Czystym polskim nazwać tego nie można, ale każdy Polak zrozumie. On Ślązaka też zrozumie. Wychodzi przy okazji na jaw członkostwo Klosego w SS...

I co dzieje się dalej? Niemiec, SS-mann i gestapowiec. W 1953 roku to by w zupełności starczyło na wieloletnie więzienie albo i czapę czyli wyrok śmierci. Bo wymusić przyznanie się do jakiegoś sabotażu czy ataku na młodą władzę ludową to spece z bezpieki potrafili. Lampa prosto w oczy, aż do bólu i spokojne tłumaczenie. Wiemy kim jesteś, Klose. Prokurator przed sądem przedstawi piękny wywód. Gestapowiec i esesman. Dlaczego pozostał na Dolnym Śląsku? Bo tu miał działać owiany ponurą niesławą Wehrwolf. No a wszyscy wiedzą, co to Wehrwolf. Mordy, podpalenia, sabotaż, niszczenie linii kolejowych, mostów... W 1953 roku znalezienie broni w lesie (albo jej podrzucenie do stodoły) problemem nie jest. Wystarczy? Każdy sąd cię skáže, ty niemiecka gnido!

Ale Herbert Klose nie stanie przed sądem. Przynajmniej nie wtedy. Gdzieś na początku lat 60-tych trafi na trzy miesiące do więzienia. Bo po pijaku wymyślał na „władzę ludową”, że nie umie dbać o Dolny Śląsk, że potrafi tylko niszczyć. I że do du..y ta granica na Odrze i Nysie, bo te ziemie powinny wrócić do Niemiec, choćby tego NRD, wtedy będą zadbane jak należy... Żonę też, tak na wszelki wypadek aresztowano. No bo żona takiego, a niech sobie trochę posiedzi!

Zaledwie po tygodniu od aresztowania państwo Kloś, już oficjalnie pod tym nazwiskiem, gdyż zgodnie twierdzą, że pod koniec wojny wzięli ślub, wracają do domu. Herbert Kloś staje się od tej pory „świadkiem koronnym” w sprawie czegoś, co przy tej okazji pojawia się po raz pierwszy w dolnośląskich gazetach – złocie Wrocławia. A w zasadzie skarb. Przez kolejnych dwadzieścia lat będzie pan Kloś pod stałą obserwacją bezpieki. Co jakiś czas dolnośląskie gazety będą publikować informacje o poszukiwaniach ukrytego gdzieś w okolicach Złotoryi skarbu. Poszukiwaniach prowadzonych we współpracy z byłym kapitanem Abwehry Herbertem Kloś. Powstało na ten temat kilka książek, w latach 1969-74 Telewizja Wrocław nakręciła kilka dokumentalnych filmów poświęconych Klośowi i złotu Wrocławia, ale więcej w nich mitów niż prawdy. Tak jak w rzekomo oryginalnych aktach bezpieki, które jakimś dziwnym trafem nie obejmują okresu przed 1970 rokiem...

Kloś staje się swego rodzaju „bohaterem mediów”. Przyjeżdżają do niego dziennikarze, historycy, radio czy telewizja. On chętnie się o złocie Wrocławia wypowiada. Może jego polszczyzna wciąż pozostawia wiele do życzenia, brzmi nieco obco, ale ton głosu brzmi pewnie. Mówi jak ekspert. Czasem powiela informacje, czasem je zmienia. Przyłapany na tym załania się upływem czasu. To było tak dawno temu, na starość (ma wtedy ledwo powyżej pięćdziesiątki) czasem się człowiekowi coś tam miesza w pamięci... Niemniej każdorazowo potwierdza, że miał w rękach skrzynie ze złotem Wrocławia. Brał udział w ich wywiezieniu z Wrocławia i, do pewnego momentu, w ukryciu. Za każdym razem jakaś historyjka. Dla laika – brzmi wiarygodnie. Ale kiedy zestawić fakty i poddać je surowej analizie – pachnie kłamstwem i mitami. Ale o tym już w kolejnych odcinkach.

Odcinek 2 .

W pierwszym odcinku zaprezentowałem historię niejakiego Herberta Klose. Człowieka – zagadki, który miał być ponoć deponentem i strażnikiem skarbów wywiezionych z szykującego się do oblężenia Wrocławia gdzieś na przełomie 1944 i 1945 roku. Jeśli skarb, o którym mówi świadek odpowiedzialny za jego zgromadzenie i wywiezienie, to taki świadek powinien dokładnie wiedzieć kiedy ten skarb wywoził, gdzie, jak i ile tego było. Herbert Klose i owszem, opowiadał. Tyle, że co wypowiedź, to inna wersja wydarzeń. Raz był to grudzień 1944, tuż przed Bożym Narodzeniem, innym razem już po świętach, jeszcze innym że miało to miejsce w styczniu 1945 a nawet w połowie lutego, tuż przed dotarciem pierwszych oddziałów Armii Czerwonej na przedpola Wrocławia... Dziwne, że jednej konkretnej daty pan Klose nie pamiętał, nieprawdaż? No cóż, chyba kłamał jak z nut. Pytanie tylko, czy była to jego własna inicjatywa, czy też mówił to, co mu w danym momencie kazała bezpieka? Tego się nie dowiemy. Prawdę, jeśli w ogóle ją znał, zabrał ze sobą w zaświaty. Zmarł prawie ćwierć wieku temu, pozostały tylko jego opowieści, a na ślad skarbu, czy choćby ślady po skarbie, nikt dotychczas nie trafił. Ślady zostały dokładnie zatarte, pozostały wyłącznie mity.

MIT PIERWSZY: 7 ton złota w 23 skrzyniach.

To pierwsza informacja, w którą nie wierzę. To by dawało przeciętnie ponad 300 kilogramów na skrzynię. I to nie byle jaką skrzynię. Przecież aby wytrzymała taki ciężar, to i sama skrzynia musiała być odpowiednio masywna. Z pewnością nie z metalu, bo każdy gram żelaza szedł na produkcję zbrojeniową, zatem z drewna. Z solidnymi wzmocnieniami. Ciężka taka skrzynia. Kilkadziesiąt kilo z pewnością. Łącznie z ładunkiem jakieś 350 kilo. Może i czterysta. Ilu ludzi musiałyby taką skrzynię prznosić? Pamiętajmy, złoto ma duży ciężar właściwy (zwany naukowo gęstością), 19,3 tony/m³. 300 kilogramów złota to raptem 15,5 litra objętości, jeśli tak to „po ludzku” przeliczać. Czyli skrzynia byłaby wręcz malutka, natomiast aby ją podnieść, trzeba by było tak z ośmiu, może i dziesięciu ludzi. Wadziliby sobie wzajemnie. Czyli duża skrzynia, tak powiedzmy wielkości bardzo dużej trumny. Niewygodna do noszenia, do przewozu też niewdzięczna. Unieść ją, to jedno. Pozostaje jednak coś więcej - trzeba podnieść ją na poziom skrzyni samochodu ciężarowego. Skomplikowane? No właśnie! Coś tu zatem nie gra...

Mówimy o depozytach ludności, muzeów i kościołów. To nie jest złoto w sztabach, ale wyroby jubilerskie, naczynia liturgiczne, sztucce, patery, różnego rodzaju domowe bibeloty. Czasem wykonane z niemalże czystego złota czy srebra, czasem tylko złoczone albo posrebrzane. Ich objętość jest zdecydowanie większa niż złota w sztabach. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę mentalność Niemców. Ordnung muß sein. Jak w skarbu typu wszystko do jednego wora czy skrzyni rozpoznać własny pierścionek, sztucce czy inne domowe precjoza? Trwa wojna. Aparaty fotograficzne i błony są rzadko dostępnym towarem ekskluzywnym. Nikt nie będzie fotografować każdej sztuki z osobna, poza tym niektóre wyroby są „seryjne”, nierozpoznawalne wśród dziesiątek identycznych. Typowy niemiecki pan Müller (a może raczej pani Müller, bo jej mąż jest gdzieś na wojnie, w niewoli lub zginął) spakuje swoje kosztowności. Do drewnianej skrzyneczki, metalowego pudełka po ciasteczkach, kawie czy herbacie i jeszcze włoży do środka karteczkę z nazwiskiem i listą „dóbr oddanych do depozytu”. Urzędnika Policji to nie zdziwi. Otworzy pudełeczko, porówna spis z tym, co w pudełeczku się znajduje, zważy... Potem włoży w maszynę do pisania stosowny formularz i wypełni w trzech kopiach. Kto, co i kiedy oddał do depozytu. Pani Müller dostanie oryginał, pierwsza kopia

pójdzie do akt a druga zostanie włożona do pudełeczka. Samo zaś pudełeczko powędruje do skrzyni. Skrzynia ma zapewne swój numer ewidencyjny, więc typowy niemiecki urzędnik na swojej kopii zaznaczy, do której skrzyni pudełeczko trafiło. Ordnung muß sein. Skąd to wiem? No cóż, rozmawiałem z paroma osobami, które po wojnie zostały we Wrocławiu. One opowiedziały mi, jak było, jak to wyglądało. Stawał na ulicy samochód popularnie zwany (także i u nas) szczekaczką i przez pół godziny powtarzał instrukcje co i jak należy zrobić. Niemcy lubią postępować zgodnie z instrukcją. Czują się wtedy „związani” ze swoim państwem. Państwo (pamiętajmy, Gauleiter reprezentował wówczas państwo, tak jak u nas po wojnie sekretarze PZPR) wydaje polecenie, właściwa służba wydaje instrukcje jak polecenie wykonać a ja, dobry obywatel Rzeszy, wypełniam polecenie zgodnie z otrzymaną instrukcją.

Spróbujmy sobie owe skarby wyobrazić. Najpierw – ile skrzyń? Podobno nie tylko podziemia aresztu ale też hall na parterze i korytarze I piętra były wręcz zastawione skrzyniami. Tak na dwa metry wysokości.

Skąd aż taka ilość? Wyobraźcie sobie, drodzy Czytelnicy, że przygotowujecie swój dom czy mieszkanie do przeprowadzki. Przykładowo: buty można zapakować do jednego worka ale są pedanci, którzy każdą parę trzymają w jej fabrycznym kartonie i będą chcieli spakować nie buty luzem ale kartony z butami. W jeszcze większe kartony. Objętość wzrośnie wielo-, wielokrotnie. Niemcy takimi właśnie pedantami byli, są i przez wiele pokoleń jeszcze będą. Spróbowałem to sobie wyobrazić i doszedłem do wniosku, że pewnie wykorzystali „typowe” skrzynie takie do przewozu min lub amunicji artyleryjskiej. 120 cm długości, 50 szerokości i 40 wysokości. Widziałem takie skrzynie – jest na nich informacja „MAX. GEWICHT 80 KG”. Maksymalna waga 80 kilogramów. Bo im większy dopuszczalny ciężar ładunku, tym solidniejsza musi być konstrukcja samej skrzyni. Ale osiemdziesięciu kilo do środka nie zapakowano, bo przecież w tych właścicielskich pudełeczkach czy skrzyneczkach było sporo wolnej przestrzeni, zwykłego powietrza. Powiedzmy tak 55 – 60 kilo średnio na skrzynię. Dwóch ludzi da radę przenieść czy podnieść taką skrzynię. Tyle, że w wyniku otrzymujemy jakieś 120 skrzyń a nie 27! Oczywiście jeśli uwierzymy panu Kloze, że było tego tylko 7 ton.

Spróbujmy i założmy na moment, że było tego 7 ton. Ale to są tylko depozyty ludności cywilnej, choć i to wydaje się znacznie zaniżoną wielkością, albowiem w liczącym wówczas 800 tysięcy mieszkańców mieście musiało być tego dużo, dużo więcej. Ile przekazały banki i firmy ubezpieczeniowe? Kościoły? Ile było złota i srebra z przewiezionego wcześniej do Wrocławia słynnego skarbu Częstochowy?

Mówimy o latach 1944-1945. W bankowych skrytkach bogacze trzymają te najcenniejsze precjoza jubilerskie – przepiękne kolie czy naszyjniki. Obowiązkowo w firmowych pudełkach. Bo tutaj liczy się nie tylko wartość złota ale i nazwa złotnika, który to z artystyczną maestrią wykonał, nazwisko szlifierza kamieni... Obce waluty. Dolary, funty, franki szwajcarskie. Są tego z pewnością miliony. Akcje i obligacje też mają formę papierową. Papier jest ciężki. Może nie tak jak złoto, ale jest ciężki. Papier jest nietrwały. Akcje, obligacje, zapasy walut obcych i jubilerskie precjoza trzeba wpieryw zabezpieczyć przed wilgocią, potem spakować w drewniane skrzyneczki i dopiero taki pakunek mógł trafić do policyjnego depozytu. Zatem ile? Tego akurat nie wie nikt, ale przynajmniej dwa, może i trzy

razy więcej niż to, co przekazała ludność. Powiedzmy, że niecałe 300 skrzyń. Sumarycznie otrzymujemy tych skrzyń już 400! A była wcześniej mowa o 27...

Muzea i kościoły oddawały także dzieła sztuki. Najbogatsi wrocławianie, arystokraci i przedsiębiorcy, szefowie urzędów państwowych, artyści i naukowcy mieszkali w domach pełnych starych obrazów. Własnych czy skradzionych w Europie, bez znaczenia. Obrazy, rzeźby, złote czy złożone popiersia. Czasem bardzo duże. Taki cenny obraz, wraz z ramą, zabezpieczony wprawdzie przed wilgocią trafia następnie do wytrzymałej drewnianej skrzyni. Jeden obraz – jedna skrzynia. Podobnie te inne dobra. Musiało być tego kilkaset sztuk.

Tak oto summa summarum dochodzimy do zupełnie innego obrazu skarbu Wrocławia. Tak około 1000. **TYSIĄC** skrzyń a nie 27! No cóż, trudno tu raczej mówić o „drobnej różnicy”. Tu raczej chodzi o ukrycie prawdy.

Chyba, że przyjmiemy inne założenie. Herbert Klose o samym Skarbie Wrocławia zielonego pojęcia nie miał, ale był, co nie ulega wątpliwości, funkcjonariuszem wrocławskiego Wyższego Urzędu SS i Policji. Pracował w strukturach, które miały stworzyć Wehrwolf i służyć wsparciem dla organizacji ODESSA. Organisation der ehemaligen SS-Angehörigen, organizacja byłych członków SS miała wspierać tych wszystkich, którzy otrzymywali rozkaz pozostania za linią frontu. Czasem aby dokonywać sabotażu, czasem aby zniszczyć dokładnie to wszystko, co nie mogło być wywiezione a nie mogło wpaść w ręce Sowietów. Dokumentację zbrojeniową, wyniki badań laboratoryjnych, dowody popełnianych zbrodni, archiwa kadrowe, archiwa wywiadu... Albo, jak długo się da, prowadzić obserwację wroga i przesyłać meldunki wywiadowcze. ODESSA działała, to pewne. Mniej pewne, kto za nią stał. Do lat 70-tych panowało przekonanie, że za jej stworzeniem stał Heinrich Himmler oraz jego „wybitni specjaliści” z Otto Skorzenym i Jürgenem Stroopem na czele. W połowie lat 70-tych pojawiły się jednak informacje, że za jej stworzeniem stał Reinhard Gehlen, jeden z najwyższych oficerów Abwehry (od 1943 roku jej szef), a po wojnie szef Bundesnachrichtendienst – wywiadu Niemiec Zachodnich. I wiele wskazuje właśnie na to, że to nie SS ale Abwehra stała za ODESSĄ.

Plan był prosty – kontynuować misję, jak długo się da. Gehlen, bardzo pojętny uczeń admirała Canarisa, postanowił wykorzystać szansę. Dopóki trwała wojna, wywiady alianckie i Abwehra były dla siebie wrogami. Ale po wojnie sytuacja miała ulec zmianie. Walka o wpływy w Europie miała doprowadzić do konfliktu amerykańsko-sowieckiego. Do otwartej wojny wprawdzie nie doszło, ale walka wywiadów i kontrwywiadów rozgorzała na długie, długie lata. Liczył się każdy dobry szpieg. Niemcy mieli takich. Od Moskwy po Odrę. I tysiące ludzi na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej, późniejszej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zostali. Wtopili się w lokalne społeczeństwo. Mieli dobrze spreparowane historie, autentyczne dokumenty... Czekali jedynie na sygnał. Po wykonaniu misji albo gdy grunt pod nogami zaczynał się palić, szli ustalonym szlakiem przerzutowym. Od punktu do punktu.

Pamiętajmy jednak, że jest to Europa po wojnie. Wszystko jest na kartki, wszystko jest racjonowane. Nie można wejść do sklepu i ot tak kupić sobie chleba, wędliny, sera. Poza tym mówimy o ludziach, którzy pozostali na terenie kontrolowanym przez sowieckie NKWD. Kontrola,

kontrola i jeszcze raz kontrola... Spojrzysz krzywo i wystarczy. A obcy? Bez dokumentów? Bez pozwolenia na podróż? Wiadomo, od razu do aresztu. A tam czekali już specjaliści od przesłuchań!

Sznureczek ludzi poruszał się zatem nocami, lasami i bezdrożami od kryjówki do kryjówki. W pobliżu kryjówki musiał mieszkać ktoś, kto umiał pomóc. Donieść chleba, herbaty, kawy, mięsa. Oficjalnie nie mógł tego kupić. Nie w sklepie. Ale chłop od chłopca? Czemu nie? Wiesz pan, panie sąsiad, kuzynka w mieście mieszka, ślub (komunię, stypę) będzie miała kobiecina a z tych kartek to co ona zrobi? Nie masz pan tak kilka kilo własnej kielbaski na sprzedaż? I rozumiesz pan, dała mi kilka sztuk złota na zapłatę...

Nie ma lepszej motywacji od chciwości. Wystarczyło mieć wiedzę, kto i czym handluje i byle nie za często robić zakupy u jednego dostawcy. Raz u tego, raz u tamtego, a później jeszcze w innej wsi. Tu się butelczynę wypiło, tam się butelczynę wypiło i swój wszystko wiedział. Handelek kwitł jak trzeba. Kłose nadawał się idealnie. Znał język. To było najistotniejsze. Znał mentalność małej wsi, bo na takiej się urodził. Znał mentalność polskiego chłopca, bo pod Miliczem, choć do 1945 roku był to obszar Rzeszy, połowa mieszkańców mówiła po polsku lub lokalną śląską gwarą. Przed wojną jako rzeźnik zapewne niejednokrotnie proszony był o zabicie i rozebranie cielaka czy świni. A jak już było mięsko, to i butelczyna z wódką się znalazła. Bo przecież nie zabija się zwierzęcia bez okazji. A jak okazja na większą wyzerkę, to i okazja do wypicia. Za zdrowie albo za spokój duszy, za szczęście przyszłej młodej pary, chrzczonego dziecka... Kłose był w tym świecie obeznany. Swój wśród swoich. Przykrywkę miał, co potwierdza 8 powojennych lat spokoju, nawet dość dobrą. Czego mu zatem było trzeba, aby mógł powierzoną mu misję kontynuować? Złota! Ale nie takiego w ciężkich zwanych doublelotami dwudziestopięciokilogramowych sztabach. Obrączki, pierścionki, łańcuszki, krzyżyki, to co chodliwe na wsi, wśród zwykłych ludzi. Złoty drobiazg, który można wymienić na jedzenie. Pamiętamy, po wojnie „pracował” jako weterynarz. Znał każde zwierzę w oborze i jego właściciela. Wiedział, kto łasy na forszę, z kim można sprawę opić, kto będzie trzymać gębę na kłódkę zamkniętą i bez obaw transakcję przeprowadzić. Tyle, że jeśli Kłose pracował dla ODESSY, dla niemieckiego wywiadu, to wracamy do pytań o jego tożsamość. Oprawcy z bezpieki kazali mu przyznać się do tego, że nie był oficerem Abwehry ale funkcjonariuszem Gestapo i esesmanem. Przyznał się. Miał świadomość, że prędzej czy później i tak zmuszą go do tego. Torturując go. Albo jego żonę, na jego oczach. Lecz jeśli pracował dla ODESSY, to był z Abwehry. W czasie wojny do stopni oficerskich podnoszono także i ludzi z maturą, czasem i bez. Mógł zatem być oficerem SS (tu żadnych wymogów formalnych; liczyła się decyzja Heinricha Himmlera i jego podwładnych) w stopniu Hauptsturmführera oddelegowanym do Abwehry w równoważnym wojskowym stopniu kapitana. Czemu zatem polskiej bezpiece zależało na tym, aby opowiadał o złocie Wrocławia? Czemu podpowiadano mu bajeczki o tym, jak je z Wrocławia wywieziono i gdzie ono powinno być?

To kolejne mity, którymi zajmę się w następnych odcinkach.

Odcinek 3.

W poprzednich odcinkach pokazałem, że rozmiar Skarbu Wrocławia według Herberta Klose i „oficjalnych” wypowiedzi emerytowanych oficerów polskiej bezpieki ma się raczej nijak do prawdy. Skarb, co nie ulega wątpliwości, był, i był wielki. Rozmiarowo, ilościowo i wagowo. Został zgromadzony w budynku Wyższego Urzędu SS i Policji we Wrocławiu. Został wywieziony. Jak i gdzie?

MIT DRUGI – transportem samochodowym.

Przede wszystkim przypomnę – jest przełom 1944 i 1945 roku. Czego walczącej Rzeszy brakuje najbardziej? PALIWA! A konkretnie benzyny i oleju napędowego. Statki już nie przywożą benzyny czy ropy. Francuskie porty, do których mogły zawijać tankowce z Hiszpanii, Portugalii czy całej Ameryki Południowej są w rękach Aliantów. Rumunia i jej naftowe zagłębie w Ploesti jest w rękach Sowiec. Niemcy mają jeszcze do dyspozycji niewielkie źródła zaopatrzenia w ropę. Węgierskie i polskie, w Bieszczadach, ale i te za moment trafią w ręce Armii Czerwonej. Wprawdzie niemiecki przemysł wytwarza z węgla benzynę syntetyczną, ale tego wszystkiego jest zbyt mało, aby zapewnić odpowiednie zaopatrzenie.

Jak przedstawia się sytuacja? Feldmarszałek Gerd von Rundstedt ma przystąpić do pancernej zimowej ofensywy w Ardenach, ale większe ilości paliwa ma zdobyć u Amerykanów. Planu nie uda się wykonać. Czołgi Rundstedta staną w Ardenach z braku paliwa. Ich załogi porzucą unieruchomione maszyny i pieszo wrócą do Rzeszy. Albo pójdą do amerykańskiej niewoli. Hermann Göring żąda w listopadzie 1944 roku stu tysięcy ton paliwa dla Luftwaffe. Dostaje **przydział** na dziesięć tysięcy ton. Karl Dönitz dla Kriegsmarine, a właściwie już tylko dla U-Bootów, chce przynajmniej siedemdziesiąt tysięcy ton ropy. Dostanie przydział na sześć tysięcy. W jednym i drugim przypadku rzeczywistość okaże się jeszcze skromniejsza niż przydziały – ich jednostki dostaną tak mniej więcej połowę z tego, co im przydzielono. Reszta... spłonie wraz z cysternami na bombardowanych dniem i nocą niemieckich liniach kolejowych.

Opowieść Klosego wydaje się zatem pozornie prawdziwa i wiarygodna – nie wywożono Skarbu Wrocławia pociągami, bo linie kolejowe były bombardowane. Dla tak wartościowego skarbu byłoby to zbyt niebezpieczne. Wywieziono go zatem samochodami. Autostradą w kierunku Legnicy, potem drogą przez Złotoryję w góry. Konkretnie – w okolice Karpacza. Tam transport przeładowano na sanie i wywieziono w góry. Klose stwierdził przy tym, że nie wie, gdzie dokładnie bo „spadł z konia i stracił przytomność”, a został ocucony przez wracający z gór oddział pod dowództwem Standartenführera SS Egona Ollenhauera oraz kapitana Seiferta. Mieli się udać w kierunku schroniska Samotnia nad Małym Stawem, ale to tylko jedna z wersji.

Klose nie wie, co dokładnie zostało wywiezione w Karkonosze, może złoto, może dokumenty Abwehry, może akta personalne SS... Złoto miało mieć bezpieczną kryjówkę, dlatego rozważano kilka wersji, kilka kryjówek. Klose opowiada o nich nawet dość chętnie. Z uwagi na bliskość pod uwagę wzięto **masyw Ślęży**, choć zrezygnowano z tej lokalizacji, bo na Ślęży stacjonowało wojsko. **Masyw Śnieżki od strony Doliny Białego Jaru**. No niby zgadza się to z jego opowieścią – można tam się dostać wyłącznie od strony Karpacza Górnego, drogą rozpoczynającą się przy Kościele Wang i pnącą się cały czas pod górę. **Zamek Grodziec**. Wprawdzie własność prywatna, ale miejsce godne zaufania.

Właściciel, Herbert von Dirksen, nazistowski dyplomata i przyjaciel Adolfa Hitlera. Tyle, że jego siedziba już została „zajęta” na potrzeby chronienia niemieckich dóbr – trafi tu część wrocławskich muzealiów oraz część księgozbioru berlińskiej Biblioteki Państwowej. Ollenhauer i Klose muszą z tego miejsca zrezygnować. **Zamek Ostrzyca**. ??? O takim zamku nie słyszałem. Jest Góra Ostrzyca, ale nie zamek. Natomiast w jej pobliżu jest właśnie zamek Grodziec. Ostrzyca to pamiątka z czasów erupcji wulkanicznych. Jej twarde bazalt niezbyt nadaje się do kucia sztolni. Do tego warstwy uległy tak zwanej przewrotce, są mocno spękane wewnątrz i mają układ pionowy. Nigdy tam sztolni nie budowano, gdyż każda próba kończyła się zarwaniem stropu i zawałem. **Pałac Schaffgotschów w Cieplicach albo w Sobieszowie**... Właściwie. Czemu nie? Bliżej tam z Jeleniej Góry niż do Karpacza. Rozważano także ukrycie skarbu w **twierdzy w Kłodzku**. Ciekawe, ale w tych miejscach obecność wojska spółce Ollenhauer – Klose nie przeszkadza. W Sobieszowie siedzibę ma jedna z placówek kryptologów Abwehry. Twierdza w Kłodzku dysponuje potężnymi radionamiernikami i radarami, poza tym cały czas szkoli się tam artylerzystów...

Rozrzut dość znaczny. I raczej mówiący jedno: na pewno w tych miejscach Skarbu Wrocławia nie ma. Klose nawet nie zająknął się o Zamku Czocha koło Leśnej, a do dziś mówi się, że do jego podziemi nikt nie potrafi się dostać. Blisko Złotoryi... Nie ma też na jego liście leżącego na wałbrzyskich obrzeżach Zamku Książ, który w czasie wojny przeżył bardzo, bardzo wiele. Jedna z jego sal została przebudowana idealnie pod wymiar zaginionej Bursztynowej Komnaty. I jako „Brabant 1”, bo taki otrzymał kryptonim, miał być wielką skarbnicą Rzeszy. Dość dziwne...

Zatem przyjrzyjmy się faktom. Zima przełomu lat 1944 i 1945 była niezwykle mroźna i śnieżna. Przynajmniej w Sudetach. Pokrywa śnieżna przekraczała miejscami dwa metry, od listopada do lutego utrzymywały się srogie mrozy, sięgające nawet 30 stopni poniżej zera, w marcu i kwietniu wiele lepiej nie było. Niemcy szacują, że na Dolnym Śląsku, w trakcie ucieczki na zachód, zamarzło na tamtejszych drogach jakieś dwadzieścia trzy, może nawet dwadzieścia cztery tysiące ludzi. Opowieści uciekinierów są w tym względzie zgodne. Kto z wyczerpania usiadł w śniegu by chwilę odpocząć, zostawał „na zawsze”. Zamarzał. Ponoć w lutym zaprzestano zbierania i chowania trupów – odsuwano jedynie ciała od drogi. Miały czekać na pogrzeb do wiosny.

Wróćmy zatem do opowieści Herberta Klose. „Nasz świadek” twierdzi, że spadł z konia, stracił przytomność i dopiero po kilku godzinach został „odnaleziony” przez wracający z gór oddział, ocucony i wrócił wraz z resztą do Wrocławia. Ludzie zamarzali na takim mrozie w ciągu godziny a on, Herbert Klose, przetrwał bez przytomności kilka godzin, leżąc w głębokim na dwa metry śniegu? Wierutna bzdura. Jestem Sudetczykiem (rozmiłowanym w Sudetach turystą, z blachą Przewodnika Sudeckiego). Przeszedłem te góry wzdłuż i wszerz, także w warunkach srogich zim. Godzina leżenia w śniegu na mrozie i człowiek zamarza. Gdyby istotnie Klose spadł z konia i przytomność stracił, dopiero na wiosnę, tak gdzieś w kwietniu czy maju, jego zwłoki zostałyby odsłonięte. **Nie wierzę panu, panie Klose!**

Druga rzecz – po co jechać do Karpacza przez Złotoryję i Jelenią Górę? Nadkładać dziesiątki kilometrów? Bo co, autostrada wygodna i bezpieczna a kolej bombardowana? Bzdura. Dolny Śląsk nie zna jeszcze bombardowań. Z Anglii czy Francji trochę za daleko a od południa, z Włoch... Amerykanie próbowali bombardować Górny Śląsk. Zrobili rajdy na Blachownię, Azoty i Zdieszowice, ale ponieśli potężne straty. Niebo nad Austrią i Czechami jest pilnowane przez odrzutowe messerschmitty i

potężną obronę artyleryjską. Autostrada i owszem, jest. Wówczas do wysokości Legnicy. Odcinek Legnica – Görlitz lub Forst jest ciągle w budowie (ten ostatni do dziś nie został skończony!!!). Ale nawet i dziś, gdy A4 została gruntownie przebudowana, na odcinku Kostomłoty – Krotoszyce zimą jest to mało przyjazna droga. Wystarczy odrobina lodu czy śniegu na nawierzchni, aby na tych podjazdach stawały ciężarówki. Na zjazdach nie jest lepiej. Rowy dość często goszczą samochody. A jak wyglądała droga na Złotoryję i dalej, w kierunku Jeleniej Góry i Karpacza? No cóż, nie mam jeszcze sklerozy i pamiętam te drogi sprzed okresu inwestycji unijnych, które akurat drogę ze Złotoryi do Jeleniej Góry dość wielkim łukiem ominęły. Wąska, kręta, pełna stromych podjazdów i zjazdów, z drzewami wzdłuż pasa jezdni. No i wiodąca przez liczne wioski. Nawet i dziś niezbyt dobrze się po niej jeździ, szczególnie na odcinku autostrada – Jelenia Góra. A raczej nie jeździ, omija. Kto zna, ten wie. Zjeżdża się z autostrady przy Kostomłotach i jedzie przez Strzegom oraz Bolków. Szybciej i wygodniej. Tymczasem pan Klose opowiada historyjkę, jakoby tymi właśnie lokalnymi drogami wywieziony został Skarb Wrocławia??? Śledczy albo w to wierzą, albo każą mu tak właśnie mówić.

Tak czy owak kolejny mit!

Taki transport musiał być wykonany zgodnie z procedurami. Na przodzie motocykl z karabinem maszynowym na przyczepce. Tuż za nim motocykl ruchu drogowego, też z przyczepką, ale trzech ludzi. Kierowca i dwóch żandarmów do ewentualnego zatrzymania ruchu na każdym skrzyżowaniu. Za nim kołowy transporter opancerzony z 10 żołnierzami na pace i stanowiskiem obrony przeciwlotniczej – działkiem opl albo karabinem maszynowym. Z kierowcą i podoficerem-dowódcą 14 ludzi. Później samochód dowódcy konwoju, najczęściej ten sympatyczny Volkswagen wdzięcznie nazywany kubłem na śmieci, Kübelwagen. Kierowca + dowódca + adiutant albo inny oficer. 3 ludzi. Dopiero potem ciężarówka z transportem. W każdej kierowca, mechanik i dwóch ludzi na pace. Na dwie ciężarówki z ładunkiem jedna z ochroną. Drużyna 12 ludzi plus obsługa zamieszczonego nad kabiną kierowcy karabinu maszynowego, łącznie 16 ludzi z kierowcą i mechanikiem albo podoficerem w kabinie. Od tyłu kolejny transporter obrony przeciwlotniczej. Całość miał zamykać Funkpanzerwagen, opancerzony pojazd łączności radiowej. 4 ludzi plus oficer łączności. Oraz motocykl dla „meldunkowego”, taki niemiecki pomysł – jak przychodzi ważna depesza motocykl podjeżdża, podaje się papier meldunkowemu a ten wyprzedza cały konwój i dowozi depeszę dowódcy konwoju.

7 ton złota, nawet jeśli to tylko tyle, to przynajmniej dwie ciężarówki. Ale raczej trzy. W sumie 8 lub 9 pojazdów. Dość duży konwój. I ten właśnie konwój miałby jechać wąskimi, krętymi i pełnymi stromych podjazdów i zjazdów drogami? Może i odśnieżonymi, ale raczej na szerokość konnego wozu a nie ciężarówek, które tamtędy nie jeżdżą? I co dalej? Pchać się do centrum Jeleniej Góry, by dopiero tam obrać kierunek Karpacz? I nadkładać tak jakieś 80 kilometrów w jedną stronę? Bo jadąc od strony Bolkowa można pojechać drogą przez Karpniki. Ominąć całą Jelenią Górę, ominąć dziesiątki tysięcy oczu, które taki konwój odnotowałyby w swojej pamięci... Ale nie, pan Klose twierdzi, że jechali przez Złotoryję. Drogą gorszej jakości, niepewną co do przejezdności i do tego dłuższą? Przy braku zaopatrzenia w benzynę? Coś tu nie gra! Poza tym pamiętajmy, że mówimy o tajnym transporcie. A tu mamy, tak plus minus, 60 ludzi żołnierzy. Każdy z nich to potencjalne źródło ujawnienia tajemnicy. **Nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy!**

I kolejny mit – transport saniami gdzieś ponad kotlinę Małego Stawu, do jakiejś skrytki... No cóż, od 1904 roku Karkonosze są rezerwatem. Żadna z niemieckich map turystycznych nie pokazuje

w tamtej okolicy choćby i bardzo starej kopalni, w której taki skarb można złożyć a wylot zamaskować. Albo wysadzić... . Choć przepraszam, owszem, była w masywie Śnieżki kopalnia. Za czasów austro-węgierskich, od strony czeskiej, w Pecu. Ale do Pecu dojeżdża się albo przez Przełęcz Okraj albo przez Jakuszyce. Od Karpacza drogi nie ma.

Tymczasem pan Klose opowiada, że konwój pojechał z Górnego Karpacza w góry, saniami, skarb ukryto gdzieś powyżej kotła Małego Stawu. To znaczy chyba powyżej, bo Klose leżał bez przytomności w śniegu i nie ma pojęcia gdzie dokładnie. Przypomnę, trwa zima. Wyjątkowo ostra i śnieżna. Z całą pewnością nie są to warunki, w których można zrobić w skałach odpowiedniej wielkości skrytkę, złożyć w niej skarb i jeszcze całość zamaskować tak dokładnie, by do dziś nie zostało to odkryte. Przecież jeśli nie ma tam jakiejś starej kopalni albo jaskini, bo nie ma, to trzeba mieć ze sobą ładunki wybuchowe, wiertnice do ich zakładania i saperów do obsługi tego interesu. Kolejna ciężarówka albo i dwie, kolejnych kilka par sań..

Bajki pan opowiadałeś, kapitanie Klose, tzn. być może kapitanie, bo stopień wojskowy pana Klose jakoś nie został wiarygodnie wyjaśniony... Jeszcze większym mitem jest transport saniami. Jest zima 1944/45. Niemcom brakuje żywności. Szczególnie mięsa. Już w październiku 1944 roku wydany został rozkaz wybicia koni. Na mięso. Poza tym takie sanie wraz z końmi miałyby tylko oddziały Grenzschtzu, straży granicznej. Ale akurat w Karpaczu ich nie ma. Są na przełęczy Okraj powyżej Kowar, na przełęczy Odrodzenie powyżej Przesieki, w Jakuszycach za Szklarską Porębą, ale nie w Karpaczu. Co najmniej trzydzieści kilometrów od Górnego Karpacza. Dla nich to wyprawa na prawie cały dzień w jedną stronę. Obrok dla koni, jedzenie dla ludzi i jakiś dach nad głową, aby mieć schronienie na noc.

Liczba ludzi zaangażowanych w ukrycie tego skarbu tam, gdzie sugeruje to pan Klose, przekroczyłaby setkę. Nie licząc sztabów jednostek i oficerów z posterunków Grenzschtzu, bo ci musieliby otrzymać rozkazy swoją ścieżką służbową, a nie od jakiegoś tam Standartenführera Ollenhauera czy kapitana Klose. Poza tym znam te obiekty po Grenzschtzu – były w nich stajnie na kilka koni, tak do sześciu stanowisk. Aby obsłużyć potrzeby oddziału panów Ollenhauera i Klosego, nie tylko z Karkonoszy ale i z Gór Izerskich i całej Kotliny Jeleniogórskiej musiano by ściągnąć żołnierzy z saniami. Tak ze trzydzieści par sań, bo od świątyni Wang droga jest na tyle stroma, że więcej niż pół tony na sanie się nie załaduje? I kolejnych 60 ludzi. 200 ludzi, aby ukryć 23 skrzynie z 7 tonami złota? A może bardziej precyzyjnie: 200 żołnierzy. W tym przynajmniej 60 z Grenzschtzu. Uzbrojonych, umiejących walczyć w takich zimowych warunkach. Gdzie tu mowa o zapewnieniu tajemnicy? Gdyby to byli więźniowie z którejś filii Groß Rosen albo innego niemieckiego Konzentrationslager to po wszystkim zostaliby zabici, ale nie żołnierze. Dwustu lub więcej świadków i nikt, oprócz pana Klose, pary z gęby nie puścił?

Mit, panie Klose, mit! Albo bajeczka dla pospólstwa.

Nie jedyny w tej całej historii mit. Ale o innych aspektach sprawy Herberta Klose i złota Wrocławia napiszę w kolejnym odcinku.

Odcinek 4. Uwikłanie.

Przepraszam twórców filmu „Uwikłanie” za wykorzystanie ich tytułu, ale w sprawie złota czy skarbu Wrocławia jest tyle zbieżności z tym właśnie filmem, że zrezygnowałem z poszukiwania innego słowa. Mam nadzieję, że pamiętacie Państwo tamten film – „towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń” stworzone przez byłych funkcjonariuszy różnych służb, szafy pełne „teczek z hakami” na wszystkich możliwych polityków różnych maści i pozycji? I bez skrupułów likwidujących ludzi z własnego środowiska, którzy w ten czy inny sposób mogą zagrażać bezpieczeństwu interesów organizacji?

Przyjmijmy, że Klose mówił prawdę. Na przełomie 1944 i 1945 roku z Wrocławia wyjechał mały, nieformalny konwój. Dwie lub trzy ciężarówki. Autostradą przez Złotoryję do Sędziszowej, gdzie po wojnie Klose zamieszkał i dalej na południe, ku Kotlinie Jeleniogórskiej, Górom Wałbrzyskim, Sowim... Dlaczego akurat tak? Jeśli Herbert Klose miał być „przystankiem” na drodze ewakuacyjnej, „zasilaczem” w żywność i biżuterię, za którą można było kupić dosłownie wszystko łącznie z wolnością czy życiem, to nie mógł być sam. Takie placówki musiały być zorganizowane co najmniej więcej dwadzieścia, góra trzydzieści kilometrów. Pamiętajmy, wojna niebawem dobiegnie końca, cały ten obszar będzie kontrolowany przez Rosjan albo Polaków. Niemieccy mieszkańcy tych ziem albo sami uciekną albo zostaną wysiedleni. Ludzie, którzy będą przemykać się ku zachodowi, nie będą mieć do dyspozycji pociągów, samochodów czy choćby rowerów. Każda droga publiczna to system posterunków kontrolnych. Przy rogatkach większych miast i miasteczek, przy mostach, na ważniejszych skrzyżowaniach. Dla „uciekających = poszukiwanych” to niebezpieczeństwo zatrzymania, wylegitymowania i wykrycia. Polskich czy sowieckich dokumentów podróжных mieć nie będą, zatem wykryci i zatrzymani trafią przed oblicze śledczych NKWD. Jeśli należą do SS, zdradzi ich tatuaż z grupą krwi albo błyskawicami... Wiedzą o tym. Dlatego będą szli bezdrożami, lasami, unikając siedzib ludzkich. Nawet i najmniejszych wsi. Od punktu do punktu. Wiedzą, gdzie mają dotrzeć, gdzie zostawić znak. I czekać, aż ktoś do nich przyjdzie.

Zatem jest wielce prawdopodobne, że Klose dostał pod opiekę kilkadziesiąt, może sto albo i dwieście kilogramów złota w biżuterii i zamelinował się w tejże Sędziszowej. Reszta złota i ludzi pojechała gdzie indziej. Do innych miejscowości, do innych skrytek. Co kawałek przystanek, jedna osoba wysiada, bierze worek złota i znika? W to już łatwiej uwierzyć. Tylko jeśli w ten sposób „rozparcelowano” 7 ton złotej biżuterii to by znaczyło, że pomiędzy Wrocławiem a Kotliną Jeleniogórską zorganizowano kilkadziesiąt takich punktów. **Tego pan Klose nigdy nie powiedział, ale w to akurat jestem w stanie uwierzyć.** W takim razie po co opowieści samego Klose o jakimś ukrywaniu „wielkiego skarbu – złota Wrocławia” gdzieś w Karkonoszach? I po co „potwierdzenie” rzez byłych, bo już emerytowanych ludzi bezpieki bajeczek pana Klose?

No właśnie, kłania się „Uwikłanie”. Otóż miałem możliwość rozmawiania przed laty z ludźmi, którzy tuż po wojnie przybyli do Wałbrzycha czy w jego okolice i brali udział w walkach z Wehrwolfem. Wiele tych walk i oddziałów Wehrwolfu nie było, ale nie było też tak, że w ogóle. Rozmawiałem z tymi ludźmi tak normalnie, nieoficjalnie, gdyż część tych ludzi znałem z domu. Byli znajomymi moich rodziców, grywali razem w brydża, uczestniczyli w różnych popijawach, potańcówkach. Pokazałem im książeczkę z serii „z tygrysem” i spytałem o Wehrwolf, o tamte walki... Otóż większość z nich nawet nie chciała o tym mówić. Nawet byli oburzeni, że ktoś ujawnił rzeczy, co do których mimo upływu 30 lat od końca wojny obowiązywała tajemnica. Fakt, nie ukrywali, że przez

Dolny Śląsk wiódł jeden ze szlaków ucieczki Niemców. Wehrwolf też miał tu aktywnie działać. Tak ich szkolono. A skoro było zagrożenie, należało z nim walczyć. Dlatego wojennym komendantem Wałbrzycha, tuż po zakończeniu wojny, został **Paweł Batow**. Generał Paweł Batow. Bohater Związku Radzieckiego. Człowiek, który wraz z Chruszczowem i Breżniewem dowodził obroną Małej Ziemi, kawałeczka Krymu, którego Niemcom nie udało się zająć. Był w sztabie marszałka Żukowa, gdy Sowieci opracowywali ostateczne natarcie na Stalingrad. I był jednym z autorów sowieckiej kontrofensywy pod Kurskiem. Dowodzona przez niego 65 Armia szturmowała Prusy Wschodnie i doszła przez Pomorze na Berlin. Człowiek, który pod koniec lat 40-tych miał stanąć za Żukowem, gdy Stalin wydał na swojego marszałka wyrok śmierci. Jeden z tych, którzy wynieśli do władzy i Chruszczowa i Breżniewa. W nagrodę będzie Szefem Sztabu Wojsk Układu Warszawskiego. Czyli w praktyce naczelnym dowódcą wszystkich komunistycznych armii w Europie. I to właśnie taki człowiek został komendantem wojennym Wałbrzycha, podczas gdy Wrocławiem rządzi pułkownik? Mało tego, Batow ma do dyspozycji potężne siły. W samym Książu stacjonuje dwa czy trzy tysiące sowieckich żołnierzy, kilka tysięcy dalszych zajmuje dawny Grand Hotel w Szczawnie Zdroju oraz Zamek Czetryców w centrum Wałbrzycha. Równie liczne grupy zajmują budynek szkoły SS (przy obecnej ulicy Kombatantów), budynek Grenzschtzu – dziś komisariat Policji przy ulicy Psie Pole oraz rozrzucone po całym mieście baraki po filiach Groß Rosen. Batow ma w Wałbrzychu prawie dwadzieścia tysięcy ludzi. Dwie dywizje. Batowowi podlegają komendanci wojenni od Legnicy po Kłodzko i Jelenią Górę. I sowieccy dowódcy w Świdnicy, Jaworze czy Strzegomiu. Jaki zatem Wehrwolf, pytają mnie moi znajomi? Co mogła grupka kilkudziesięciu esesmanów zrobić przeciw takiej sile? W maju (1945) jest praktycznie po wszystkim. Poszły tyraliery z kilku kierunków naraz, wytrzebili szkopów. Jeńców NKWD brało do Szczawna, do podziemi Grand Hotelu. Fakt, tam Luftwaffe miało „placówkę badawczą”, w której przeprowadzano nieludzkie eksperymenty z zamrażaniem ludzi żywcem. I chyba by mnie nie zdziwiło, gdyby ludzie z NKWD wykorzystali tamte metody do wyciągnięcia zeznań z jeńców. Wiele się nie dowiedziałem, ale jedno utkwiło mi w pamięci – te sprawy były objęte ścisłą tajemnicą. Zresztą pada w którejś z rozmów hasło „złoto Wrocławia”. I znane dopiero od kilku lat hasło „złoty pociąg”. Skład około trzydziestu wagonów, który wyjechał z wrocławskiego Dworca Świebodzińskiego w kierunku Sudetów i rozpułnął się... Jakieś sześćset, może siedemset ton a nie siedem, co przez lata wmawiali Herbert Klose z ludźmi z bezpieki do spółki.

O co zatem chodzi? Skąd takie mydlenie oczu?

Herbert Klose nie wiedział, gdzie ukryto „Złoto Wrocławia”. Nie miał z tym nic wspólnego. Coś tam może i widział, może i słyszał, ale był trzymany od tego z daleka. Dla niego był opracowany inny plan. Jak to mogło wyglądać? Niemcy wiedzieli, że Armia Czerwona, jak już przekroczy linię Wisły, w ciągu dwóch, góra trzech tygodni dotrze pod Wrocław. Zatem na przełomie 1944 i 1945 roku Herbert Klose musiał znaleźć się w innym miejscu. Poza Wrocławiem. Tam, gdzie miał pełnić swoją służbę. Sędziszowa, dziura zabita dechami, czekała. Ale nie mógł tam trafić jako oficer Abwehry, funkcjonariusz Schutzpolizei (czyli oddziałów policyjnych SS), gestapowiec czy esesman – takiego typu robotnicy przymusowi z Polski natychmiast pokazaliby palcami każdemu sowieckiemu czy polskiemu patrolowi wojskowemu. Klose musiał tam trafić z dokładnie opracowaną historyjką i życiorysem. Też jako robotnik przymusowy. Tylko z racji zawodu (weterynarz) i pochodzenia (Ślązak spod Milicza) może trochę lepiej traktowany. Ale robotnik przymusowy. Za kilka miesięcy współwzięniowie potwierdzą. No robotnik przymusowy, tak jak my. Końmi dla leśników i zwierzętami gospodarskimi

się opiekował, bo weterynarz. Opowieści współwzięniów będą jego dodatkowym alibi. I będzie mógł spokojnie zostać. Bo tam, pod Miliczem, domu nie miał, bliscy zmarli lub zniknęli w wojennej zawierusze, już zimą 45 nie otrzymywał odpowiedzi na listy. Nie ma ani do kogo ani do czego wracać. A tu domy puste, zwierzęta wymagające opieki, pola wymagające obrobienia... Potrzebny, bez dwóch zdań.

Ale to wszystko dla bezpieczeństwa nie ma w 1953 roku i później znaczenia. Wykryli, kim Kloze jest. Wiedzą, że jest „kontaktem ewakuacyjnym”. Wiedzą, że ma złoto do dyspozycji. Ale wiedzą wiele więcej. Szkolenie takiego człowieka to nie jest kilkuminutowa pogaduszka. Trzeba przede wszystkim zmontować grupę. Ci ludzie będą przez kilka miesięcy odizolowani od świata. Będą razem mieszkać, będą mówić po polsku albo śląską gwarą. Będą też wymieniać się informacjami „o zwyczajach”. Bo ludowe tradycje to podstawa życia społecznego polskiej wsi. Trzeba wiedzieć, jak się świętuje pierwsze sianokosy, a jak zakończenie żniw, co to dożynki, a jak chrzciny, śluby, stypy. Co wypada, co nie. Bo Niemcy są nieco inni. Obłąpywanie babskich tyłków to element ich kultury wiejskiej, w Polsce za coś takiego można było dostać w gębę. Albo nóż pod zębra. Poza tym tych kilka miesięcy będą na racjach żywnościowych dla robotników przymusowych. Muszą schudnąć, ba, wychudnąć, gęby muszą im się pomarszczyć. Muszą pracować fizycznie – przecież wiejski robotnik przymusowy nie może mieć wypielęgowanych dłoni urzędnika. Więc pracują, uczą się wiejskiej roboty w stodole, oborze, stajni, uczą się obsługi snopowiązałki i innych urządzeń. Ale też i uczą się swojej nowej tożsamości. Gdzie był wcześniej? Może gdzieś w Prusach Wschodnich? W jakiejś takiej właśnie zabitej dziurami wiosce. Zabrali go, jak wszyscy przed Sowietami uciekali. Zna na pamięć zdjęcia tych kilkudziesięciu chałup we wsi, każdą z mieszkańek, ba, potrafi nawet powiedzieć, która ma ładne cycki, zgrabny tyłeczek czy długie nogi...

Pod koniec roku każdy z nich pojawi się w nowym miejscu. Wiedzą, że los robotnika przymusowego jakoś nie na długo będzie ich do ziemi przyginać. Sowietci przyjdą i będzie koniec nieludzkiej harówki. Gospodarz, bogaty bauer, ucieknie wcześniej. Zwieje przed Sowietami. Zresztą oni się do tego walnie przyczynią. Będą opowiadać, co tam czerwonoarmiejsce wyprawiali na Łotwie, w Estonii czy w Prusach. Bo przecież słyszeli od ludzi. Staruszków, dzieci. Bo kobiety to raczej milczały. Albo znosiły doznane gwałty w milczącym cierpieniu, albo kończyły ze sobą, w jaki sposób – nieważne. Ale staruszki powiedziały, jak było. Przyszedł oddziałek zwiadowców, na noc we wsi stanął i wszystkie kobiety zgarnął. Całą noc się darły a rano to ledwie powłócząc nogami do domów wróciły. Nie wszystkie, bo niektóre nie przeżyły. A ile się z hańby powiesiło? Albo do przerębli wskoczyło? Strach mówić, panie, strach mówić!

Niemcy uciekną a oni, robotnicy przymusowi, zostaną.

Ludzie z bezpieczeństwa wiedzą, jak się takie grupy szkoli. Muszą się znać. Muszą mieć znaki rozpoznawcze. Masz jednego? Cierpliwości, innych też wyłapiesz. To znaczy „zaprosisz do współpracy”. Popatrzmy bowiem na sprawę Klozego jeszcze z innej perspektywy. Wpada na wiosnę 1953. To znaczy tak mówią służby. Chociaż z niektórych materiałów wynika, że obserwowany to on był już wcześniej. Dlaczego zatem właśnie wtedy, wiosną 1953?

Odpowiedź w kolejnym odcinku.

Odcinek 5. Uwikłanie – ciąg dalszy.

5 marca 1953 roku zmarł Josef Wissarionowicz Stalin. Zaledwie kilka dni później ukaże się absolutnie tajna broszurka „do użytku wewnętrznego dla lektorów prowadzących szkolenia egzekutyw PZPR” o wypaczeniach kultu jednostki z ZSRR. W polskich materiałach jeszcze nie pada słowo „zbrodnia”, jeszcze nie mówi się o absolutnie identycznych zbrodniach w Polsce, ale w Związku Sowieckim już tak. Ta broszurka szkoleniowa to nauka gaszenia ognia jeszcze zanim wybuchnie pożar. Dostownie dzień po śmierci Stalina szef NKWD Ławrientij Beria zaczyna głośno mówić o zbrodniach, mordach, czystkach, antysemityzmie, łagrach i żąda rozliczenia winnych. Zaczyna zwalniać z łagrów dzieci i kobiety. Zarządza amnestię dla przynajmniej stu tysięcy ludzi. Chce czystki w NKWD, chce rozliczenia sędziów i prokuratorów oraz wojskowych komisarzy politycznych.

Jak szybko takie informacje dotrą do Polski? Znacznie szybciej, niż się może wydawać. I to dwutorowo. Z jednej strony będą sływać z Moskwy do Warszawy oficjalnymi kanałami. Dyplomatycznymi. Swoje dołożą sowieccy dowódcy wojskowi. Sokorski czy Moczar albo Jaruzelski to ich ludzie, szczególnie marszałka Rokossowskiego. To przecież okres, w którym Sowieci mają więcej do powiedzenia w polskiej armii i bezpiecze niż Polacy! Będą narady, posiedzenia egzekutyw partyjnych z indoktrynacją – jak odpowiadać, jak się zachowywać. I „gra w szachy” – kogo gdzie się przeniesie, że niby winny został usunięty z tej akurat służby... No jakieś straty muszą być, kogoś trzeba będzie poświęcić. Ale dla tych nielicznych już się szykuje „skierowanie na inne ważne stanowisko partyjno-państwowe”. W wielkich zakładach pracy, poza granicami w dyplomacji. No może ekskluzywną przedwczesną emeryturę „ze względu na zły stan zdrowia”. Wieści będą z Warszawy sływać do województw, stamtąd do powiatów i jeszcze niżej.

Równie szybko, może nawet szybciej zadziała poczta pantoflowa. W sowieckich koszarach w Świdnicy, Legnicy, Strzegomiu są przecież komisarze polityczni i oficerowie NKWD. Jeśli mają coś do załatwienia poza koszarami (a mają, bo sowieccy żołnierze dość często robią „skok przez płot” i zanim wrócą czasem zostawiają za sobą trupa, zgwałconą dziewczynę czy obrabowany dom), muszą współpracować z polskimi prokuratorami i polską bezpieką. Bo przecież są sprawy, którym trzeba ukrócić łeb. Żołnierz Armii Czerwonej nie może być złodziejem, gwałcicielem czy mordercą. Trzeba się dogadać, wytypować „kozła ofiarnego”, jakiegoś dość często pijącego żula z wiecznie obitą głową, sfabrykować dowody i „przykładnie ukarać sprawcę tego okropnego czynu”. Ludzie z obu stron murów sowieckich koszar znają się od podszewki. Spotykają się służbowo, ale też prywatnie. Zatem jeśli sowiecka Świdnica czy Legnica już wiedzą, co się święci, to ich polscy przyjaciele szybko dostają cynk. Będzie niebezpiecznie.

Będzie niebezpiecznie, zatem trzeba mieć się czym opłacić. Bezpieka ma akta niemalże na każdego. Pełne prawdziwych czy sfałszowanych informacji, ale haków nie brakuje. Trzeba te akta „wyczyścić”, zabezpieczyć te wartościowe, oczywiście poza siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Zabrać dowody. Zdjęcia, nagrania, zeznania świadków. W ich miejsce wkłada się fałszywki. Nic nie mówiące i pozbawione jakiegokolwiek sensu notatki służbowe. Niby ta sama co na teczce data (dla niewtajemniczonych: na kartonowych okładkach teczek wpisywano każdy dokument z teczki, jego datę i numer), niby ten sam symbol, ale treść zupełnie inna. Zamiast rzeczowej informacji notatka służbowa, że rozmawiano z Tajnym Współpracownikiem (numer lub pseudonim)

o obywatelu / obywatelce X, jednak TW nie miał nic istotnego do powiedzenia. Na razie obserwowany obiekt prawa nie narusza.

Po co zabezpieczanie tych „wartościowych” akt z prawdziwymi informacjami? No cóż, szantaż to ulubiona metoda działania służb specjalnych, bezpiek, tajnych policji, wywiadów i kontrwywiadów. Masz coś na człowieka? Powiedz mu o tym. Że masz. I że chciałbyś się dogadać. Z prokuratorem, aby śledztwa nie wszczywał. Z sędzią, bo czasem sprawa jednak trafi na wokandę, aby dowody ośmieszył a jeśli się nie da, aby wyrok był „sprawiedliwy”, tak powiedzmy pięć lat w zawieszeniu? Oczywiście nic darmo, wiadoma rzecz, za przysługę zapłata się należy. O tej czy innej sprawie prokuratora czy sędziego zapomnimy, jeszcze odwdzięczymy się. To jak, uzgadniamy cenę?

Jest tylko jeden drobny szkopuł. Nawet w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego działa księgowość. Nie da rady za urzędową kasę skorumpować sędziego czy prokuratora. To znaczy można, ale oficjalnie. I mnóstwo papierkowej roboty. Pism, zgód, akceptacji... Jednak to nie jest to, o co chodzi oficerom bezpieki z powiatowych placówek. Oni będą na pierwszej linii do odstrzału. To przecież oni dokonywali zatrzymań, oni prowadzili bestialskie przesłuchania. Dopiero potem ludzie przez nich obrobieni i urobieni trafiali do województwa czy Warszawy. Nieliczni zresztą, bo w większości spraw wystarczył szczebel powiatowy. Kto zatem zapłaci za zbrodnie? Personel powiatowy. Zatem ci właśnie ludzie muszą myśleć o swoim własnym interesie.

Teraz wszystko zaczyna się układać w logiczną całość.

Wiosną 1953 roku zagrożeni „odstrzałem” ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego pojawiają się u Klozego. Jeszcze nie wiedzą kim jest, ale on wie, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. Może już w samochodzie zadaje jakieś pytanie po niemiecku a prowadzący sprawę oficer podchwytuje rozmowę. Pada propozycja, po której oficerowie ubecji dogadują się z Herbertem Kloze. Ma się z nimi podzielić złotem. W zamian nie stanie przed sądem ani za pracę w gestapo, ani za przynależność do SS i tych esesmańskich Schutzpolizei, ani za działalność na rzecz Wehrwofu czy organizacji ODESSA.

No ale tego złota to wiele nie ma... I co będzie, jak złoto się skończy? Co potem?

Znajdzie się pod opieką ludzi z bezpieki, nie miejscowych ale tych ważniejszych, z województwa. Będzie karmić śledczych we Wrocławiu opowieściami o kilku tonach złota, które ma być ukryte gdzieś w Karkonoszach. Jeździć tam razem z nimi, pokazywać drogę. Jakie 7 ton złota? I jaką drogę? Nigdy tam nie byłem.

Spokojnie, nauczymy wszystkiego. Jesienią 1944 na polecenie Gauleitera Hanke rozpoczęto przyjmowanie depozytów złota, kosztowności i dzieł sztuki w urzędzie policji. Pamięta? Pamięta, pamięta, przecież tam wtedy pracował... Z tego złota dostaliście z Ollenhauerem 7 ton do ukrycia. Te siedem ton to taki wabik. Niech się nauczy: 7 ton złota w 23 skrzyniach. Zapamięta? Wsadzają Klozego w samochód, wiozą do Karpacza, idą od Wangu w górę. I uczą. Tędy jechaliście, do Kotta Małego Stawu a potem... Może na zachód? To będzie w tamtym kierunku? Kloze się waha. Wie, co go czeka. Tortury. Okrutne tortury. Oprawcy na całym świecie co rusz wymyślają jakieś coraz to skuteczniejsze nowinki. Kloze zaczyna negocjacje. Że niby był, ale spadł z konia zaraz za Wangiem, stracił przytomność a po kilku godzinach wracający oddział znalazł go w śniegu, docucił i wrócił

z innymi do samochodów. Dobijają targu, a historyjkę dopracują w szczegółach. Ma wyglądać wiarygodnie. Tyle, że każdy szczegół przeczy innemu. Ale ci z bezpieki wiedzą, że orłów inteligencji wśród nich niewielu. Nie matura a chęć szczerą robi z ciebie oficera. Sprawny umysł nie należy do podstawowych wymagań w UBP. Wierność, poddaństwo i okrucieństwo są znacznie bardziej w cenie. Przybijają dłonie, targ został właśnie dobity. Niby jest świadek, no ale tak nie do końca, bo... Klose, co potwierdzą ubecy, nie ma wprawdzie zielonego pojęcia o skrytce, ale będzie przez lata „cennym świadkiem i współpracownikiem w sprawie”.

Nie mam wątpliwości, że nie miał zielonego pojęcia o skrytce. Gdyby miał, wyduszono by z niego taką informację torturami. A nie wyduszono. Za to zachowały się telewizyjne reportaże z lat 1972 – 74 o sprawie złota Wrocławia, o sprawie Herberta Klose, wywiady z nim robione i akta bezpieki z których wynika, że w 1972 roku złożono wniosek o założenie na niego „kartoteki” czyli kwestionariusza ewidencyjnego. Od tego momentu jest „urzędowo i fachowo” obserwowany. Po 19 latach od pierwszego aresztowania? A wcześniej? Wcześniej akt nie było? **To się przysłowiowej kupy nie trzyma!**

Przez te 19 lat Klose ma dla byłych i działających prywatnie ciągle aktywnych ludzi bezpieki inną wartość. Oni wiedzą, że nielegalne złoto to majątek. To zabezpieczenie na przyszłość. Na godziwą emeryturę i wejście w biznesy. Klosego trzeba szanować i chronić. On jedyny umie rozpoznać takich jak on. Byli przecież w jednej grupie szkoleniowej. A jeśli ci inni nie zechcą pójść na współpracę? On zapewne nawet zasugeruje, by ich nie zapraszać do współpracy. Obserwację weźmie na siebie. Klose postawi warunek wprost – będzie działać samodzielnie. Dlaczego? Miejsca, w których mieszkają „strażnicy” to nie wielkie miasta. To najprawdziwsze zabite dechami zadupia. Tam nie da rady dojechać tramwajem czy miejskim autobusem. A jak i z PKS-u oby wysiądzie, od razu namierzony. Bo obcy, a na tych małych wioskach każdy każdego zna. Z imienia i z nazwiska. Z przyzwyczajień, z nałogów, z przywar. Strażnicy to przecież ludzie – każdy potrzebuje jakiegoś kolegi. Każdy chce mieć kogoś, z kim można bez obawy napić się, pogadać, komu wyzalić... Kontaktowali się ze sobą, spotykali. Rzadko bo rzadko, ale spotykali. I ludzie na wsi znają takich gości. A to kuzyn tego tam... Wiadomo, swój. Bywał, wypito się wspólnie jakąś butelczynę albo i dwie.

Bezpieka, jak już jedzie w taki właśnie teren, to musi wziąć samochód. Jeden albo i dwa. Zwykle czarne wołgi. Kto ma w latach 70-tych samochód? I do tego czarną wołgę? Jak do zabitej dechami wiochy wjadą dwa takie samochody, za pół godziny cała wieś będzie żyła plotkami, a cóż to się święci, bo bezpieka dwoma samochodami przyjechała. Strażnik też się o tym dowie. I niekoniecznie będzie gotów dać się aresztować. Może wybrać walkę. Zabije kilku ludzi, a sam zakończy życie wkładając granat w usta. Swoje tajemnice zabierze do grobu.

Jeden człowiek ukryje się przed czujnym okiem „strażnika”. Na to Klose liczy. Bezpieka mu jakąś tam służbową przykrywkę załatwi. Byle mógł swobodnie po wsi chodzić. I po lesie. Będzie z jakiegoś wierzchołka góry obserwować. Gdzie tamten codziennie albo bardzo często chodzi? Bo z całą pewnością wzdłuż trasy takiej przechadzki jest skrytka. Doskonale zamaskowana, ale jest. Strażnik zwykle idzie tylko po to, by stwierdzić, że skrytka nie została wykryta, naruszona, splądrowana. Po kilku dniach takiej obserwacji Klose pójdzie tą samą trasą na spacer. On przeszedł takie samo szkolenie w budowaniu i maskowaniu skrytek. Wie, czego szukać. Umie dostrzec to, co pozornie oczywiste, nie budzi niczyjego zainteresowania, a jednocześnie może być skrytką. Wprawdzie trzeba sprawdzić kilka potencjalnych miejsc, ale to nie jest szukanie igły w stogu siana.

Klose dość szybko znajdzie to, czego inni nawet w tym miejscu nie podejrzewają. Pokaże ludziom z bezpieki miejsce skrytki, pomoże rozminować, ale nigdy nie powie, co go akurat na to miejsce naprowadziło. Razem podzielią się łupem. Okradnie wprawdzie swego dawnego kompana, ale wkupi się w łaski tych, którzy mają go w swoich łapskach. Albo dogada się ze swoim kompanem. Słuchaj, powie, bezpieka ma cię na widelcu. Wiedzą, kim jesteś. Ja się z nimi dogadałem. Położy gazetę, gdzie opisują jego aresztowanie. Widzisz? Aresztowali mnie, przesłuchiwali. Wyśpiewałem im wszystko i od tej pory mnie nie dotyczą. Szanują. A stworzyli taką przykryweczkę, że mucha nie siada. No i co, wchodzisz w ten biznes? Trochę złota trzeba im odpalić, ale tak po cichu, nieoficjalnie. Powiedz tylko słowo, a ściągnę tu jednego takiego. Tobie nie braknie na stare lata, a on zapewni ci nietykalność. Będziesz tak jak ja. Ważny świadek. W ten sposób Klose kupuje swoje bezpieczeństwo. U swoich i w bezpiece. I to jest ważne. Nie wejdzie w konflikt ze swoimi. Dogada się. A u tych z bezpieki zyska szacunek. Bo się dogadał i dzięki temu mają złoto.

Faktem jest, że część z tych funkcjonariuszy straci pracę. Nie wszyscy przejdą do Służby Bezpieczeństwa, która rok później zastąpi UBP. Część usłyszy zarzuty, że wymuszali zeznania torturami, że bili, że nielegalnie zatrzymywali, ale tylko je usłyszy. Bo wyroki skazujące usłyszą nieliczni. I to najczęściej tuż przed amnestią, żeby oni też z niej skorzystali. Wyjdą na wolność. Do pracy w „nowej” bezpiece nie wrócą ale nie, bezrobotnymi to oni nie będą. Przejdą na zasłużone emerytury. A kilkanaście lat później będą się chętnie wypowiadać dla telewizji, radia i prasy o tych kilku tonach złota, co to ponoć SS-Standartenführer Ollenhauer ukrył w Karkonoszach. I o tym dziwnym świadku żyjącym u podnóża góry Wielisławki w Sędziszowej, kapitanie Abwehry Herbercie Klose.

No cóż, co nagle to po diable. Na fali rozliczania zbrodni stalinowskich chyba zbyt szybko się z nimi rozstano. Nikt nie zadbał o to, aby zobowiązać ich do milczenia. Nikt nie sprawdził, z czym mieli do czynienia, z kim mieli kontakt. Nikt nie zweryfikował kompletności akt. Efekt jest, jaki jest. Są pozakładane sprawy, są teczki, są notatki z rozmów z dziesiątkami tajnych współpracowników. Są nawet jakieś tam protokoły z przesłuchań. MAKULATURA! Choć niby jest papier z lat 60-tych świadczący o tym, że Złotoryja ciągle ma oko na Klosego. Psy gończe bezpieki przełomu lat 60-tych i 70-tych zaczną prowadzić sprawę od początku i gromadzić swoje akta – fakt, to co jest dostępne, pochodzi głównie z lat 72-74. Będą sięgać po tego dziwnego Herberta Klose nie mając pojęcia, że dzięki temu budują mu doskonały parawan. Jemu i swoim poprzednikom.

Może po latach, pod koniec 1989 roku, kolejni ludzie z bezpieki zechcą dołączyć do grona osób korzystających z usług Herberta Klose, ale przeżyją rozczarowanie. Oto nagle stwierdzą, że on już jest pod parasolem ludzi z niegdyś specjalnych służb, że czuwają nad nim prokuratorzy, sędziowie. Te najstarsze pokolenia polskich bezpieczeniaków niekoniecznie będą zainteresowane współpracą.

Mają swoje teczki, dzięki którym mają haka na niemalże każdego „nowego i starego”. Czyli mogą grać na szantaż. To bardzo skuteczne. Na tych „nowych byłych z bezpieki” też niejedno mają. To takie wiaderko bardzo zimnej wody na niejedną główkę. Dzięki teczkom tamci mają swoje sprawdzone wpływy. W końcu nowa władza przez lata była szykanowana, prześladowana. Różne rzeczy się robi, gdy dzieciakom głód w oczy zagląda. A oni, emeryci, wcale nie spoczęli na laurach. Obserwowali, fotografowali, zbierali dowody. Tak na wszelki wypadek. Teraz jak znalazł...

Mają układy. Nie tylko w Warszawie. Poza Polską też się dogadali. Jakoś to dziwne, że po 54 roku część tych najbardziej nienawidzonych prokuratorów i sędziów wyjechała. Najczęściej do Wielkiej Brytanii, choć do Zachodnich Niemczech i Francji też.

Nie każdego można kupić. Nie każdy ugnie się przed szantażem. I, choć to rzadkość, niektórzy są czysti. Na nich byli bezpieczniacy mają coś innego w zanadru. Albo kogoś. Zaufanych ludzi od mokrej roboty. I takich, co to na zlecenie obrobią dom, zgwałcą żonę lub córkę, pobiją. I jeszcze na odchodnym rzuca, że następnym razem tak „szybko, łatwo i przyjemnie” to nie będzie.

Mają złoto Klozego i jemu podobnych. Mogą skorumpować każdego. Bez śladów, bez dowodów. Choć przypuszczam, że jeśli dali komukolwiek łapówkę, zostało to perfekcyjnie nagrane. Może oddzielnie robiono fotografie a oddzielnie nagranie audio, ale dowód, i to najprawdziwszy, jest. Mają złoto, które teraz mogą legalnie sprzedać i założyć firmę. A zaprzyjaźnieni od lat „prawnicy” dopomogą zaciągnąć kredyty i zbankrutować. Forsa na koncie żony, męża, syna albo córki, syndyk niczego nie odzyska.

Dopiero potem, gdy nowa władza już nieco okrzepnie, gdy Antoni Macierewicz ujawni listę agentów WSI, gdy Jaruzelski odda prezydenturę Lechowi Wałęsie, różne środowiska byłych bezpiek i wojskowej informacji zaczną łączyć swoje siły w większą „spółdzielnię”. Ale niekoniecznie wszyscy. Oni nigdy nie byli monolitem. Zresztą jak w każdej dużej organizacji – są sympatie i antypatie. Poza tym każdy tam ma swoje grzechy i grzeszki. Klozego to już nie będzie obchodzić – odejdzie z tego świata zabierając ze sobą swoją wiedzę i kontakty.

Można się jedynie zastanawiać, ile tego złota Kloze miał, ile mieli inni jemu podobni i ile z tego przeszli ludzie z bezpieki. Nie próbuję odpowiadać – czcze domysły. Może i gdzieś w okolicach domu Klozego jest jeszcze skrytka, ale zapewne opróżniona. Do czysta. Bo jeśli wchodzili tam ludzie z ubecji czy SB, później zadbali o to, by nawet i ponemieckie skrzynki zniknęły. Wysprząтали nawet podłogę, by nie pozostał choćby ślad ich bytności. Jakiś niedopałek papierosa czy wieko od skrzynki z ich odciskami palców. Dowody ich „zaangażowania w sprawę” zostały zniszczone, zatem nie ma co wróżyć z fusów.

Jedno, co dla mnie pewne to fakt, że Kloze łatwego życia nie miał. Był między młotem nowej i żądnej sukcesu bezpieki a kowadłem byłych ubeków. Jedni i drudzy mili nie byli i życie mu skutecznie uprzykrzali, to pewne. I na tym właściwie mógłbym skończyć, ale ktoś mógłby odnieść wrażenie, że chcę wmawiać Czytelnikom, że w Sudetach skarbów nie ma i nie ma czego szukać. Tak nie jest, ale o tym napiszę w kolejnym odcinku.

Odcinek 6. Sudety. Skarbiec doskonale ukryty.

Słynnego złotego pociągu na 65 kilometrze trasy kolejowej Wrocław – Wałbrzych nie ma. I nie było. W książce „Die Ehrenmenschen. Ludzie Honoru.” wyjaśniłem, dlaczego. To była do maja 1945 roku główna arteria komunikacyjna łącząca broniące Śląska oddziały z centralnymi Niemcami. Nie buduje się „skrytki” tuż przy linii kolejowej, którą dziennie przejeżdżają dziesiątki, może i setki składów kolejowych, a w nich tysiące ludzi. Ale to nie oznacza, że złotego pociągu nigdy nie było. Po prostu pojechał w inne miejsce.

Dziś, kiedy już wiemy, jak wielka była skala ucieczki zbrodniarzy wojennych przed sprawiedliwością, kiedy wiemy, że „życzliwe przyjęcie dla uchodźców z Niemiec” w Ameryce Południowej szacowane jest na ponad sto tysięcy ludzi możemy jedynie przypuszczać, że tam właśnie trafił skarb Wrocławia. W jakiejś oczywiście części, gdyż zbudowanie uciekinierom nowej tożsamości, uzyskanie legalnych lub doskonale podrobionych paszportów neutralnych, najlepiej pozaeuropejskich krajów i organizacja transportu takiej masy ludzi do Ameryki Południowej musiało kosztować krocie.

Mówi się, że ten skarb opuścił Wrocław dopiero w kwietniu 1945 r. Poszukiwacze złotego pociągu wskazują daty 23 lub 24 kwietnia. Jest to możliwe. Wrocław był wprawdzie oblegany, większość linii kolejowych zniszczona, ale ani jedno ani drugie nie było „pełne i całkowite”. Otóż niemalże do końca kwietnia Niemcy korzystali z linii kolejowej Wrocław – Sobótka a dalej to już wedle życzenia. Przez Dzierżoniów i Kłodzko do Czech, na Morawy. Ale tam (czy w pobliżu) już byli Sowieci, więc raczej nie. Przez Świdnicę w Góry Sowie. Przez Wałbrzych do Czech, przejściami w Mieroszowie lub Lubawce. Albo w Rudawy Janowickie, Karkonosze czy w Góry Izerskie. Jedno jest pewne – skarb Wrocławia został załadowany na wagony i wywieziony. Właśnie wtedy.

Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Dokładnie wtedy niemiecka Grupa Armii Mitte (Środek) rozpoczyna potężne natarcie. Na północnym odcinku zmasakruje II Armię Wojska Polskiego pod Niesky i Weißwasser, odzyskując kontrolę aż po Miśnię i Cottbus. Ale nie pójdzie na północ. Tak jakby osiągnąwszy wyznaczoną pozycję na coś czekali... Centralnej części Sudetów pilnują 8 i 17 armia. Do 9 maja Niemcy będą odrzucać sowieckie jednostki od linii Brzeg – Sobótka – Strzegom – Bolesławiec. Potem znikną. Armia Czerwona będzie wchodzić na opuszczone przez nich tereny. Bez jednego wystrzału, bez walk. Choć jeszcze 7 maja kolejna próba zdobycia Strzegomia zakończy się totalnym fiaskiem i śmiercią kilkudziesięciu czerwonoarmistów. W czeskich górach na linii Trutnov – Mlada Boleslav – Usti nad Labem – Karlove Vary niemieckie oddziały stawiają skuteczny opór. Czerwonoarmiści nie przebijają się.

Amerykanie także się przekonają, że wojna się jeszcze nie skończyła. 25 kwietnia 1945 roku zostaną zaatakowani pod Pilznem i wyparci aż pod Norymbergę. Ich 3 armia, mimo doskonałego wyposażenia i doświadczenia bojowego, nie jest w stanie zatrzymać niemieckich czołgów wspieranych przez Gebirgsjägerów, piechotę górską. Po raz pierwszy przyszło się Amerykanom zmierzyć z pewnymi swej siły, doskonale wyposażonymi i zorganizowanymi niemieckimi żołnierzami. 12 dywizja pancerna, co wspomina jej szef sztabu pułkownik Allison, była w stanie jedynie uciekać.

Jak to możliwe, że pod koniec kwietnia 1945 roku Niemcy rozpoczynają operację zaczepną, osiągają sukces w walce, docierają do wyznaczonych pozycji i następnie bronią ich tak zajadle, że

przez kolejne dwa tygodnie sprzymierzeni będą wobec tych sił bezradni? I po co to robią, skoro 12 lub 13 maja posłają do Amerykanów emisariuszy z informacją, że **już mogą skapitulować**? I nie będzie to kapitulacja żołnierza pobitego, złamanego psychicznie i moralnie, wyczerpanego. Nie będzie to kapitulacja ludzi, którzy wyczerpali możliwości walki. Oficerowie amerykańscy odnotują, że Niemcy mieli spore zapasy jedzenia i amunicji, czołgi i wozy bojowe miały wystarczająco dość paliwa, by nadal walczyć, a zapasy, które przejęli kilka czy kilkanaście kilometrów za linią frontu, pozwalały im na co najmniej 10 dni dalszej walki. Po co to wszystko?

Niewielki lokalny sukces niemieckiej Grupy Armii Mitte ma jednak istotne znaczenie w realizacji ich planów. Linia kolejowa Liberec – Karlove Vary – Linz – Vaduz (już w neutralnym Liechtensteinie) pozostanie pod niemiecką kontrolą do 14 maja 1945 r. Przypuszczam, że wiem, dlaczego feldmarszałek Schörner nie poszedł z Grupą Armii Mitte na Berlin z odsieczą. To Berlin przyszedł do niego. On miał jedynie utrzymać bezpieczną drogę ewakuacji. Dziś już wiadomo, że w Berlinie znaleziono zwłoki Gustava Welera. Sobowtóra Adolfa Hitlera. Hitler samobójstwa nie popełnił. Ale musiał mieć drogę ucieczki. Przez Cottbus, Miśnię, Pirnę, Usti nad Labem, Karlove Vary i Linz do Szwajcarii. I chyba właśnie tamtędy zbiegł. Dokąd? Anglicy twierdzą, że **Hitler zmarł w 1963 roku w Argentynie**. CIA potwierdziło, że przebywał do roku 1955 w Kolumbii jako Adolf Shrüttelmayer. Mieszkał w położonej na północ od Bogoty miejscowości Tunja, skąd wyjechał do Argentyny. Miał umrzeć między 1962 a 64 rokiem. Ale całkiem niedawno, w 2017 roku, niejaki Hermann Guntherberg oświadczył, że to on jest Hitlerem. Krótco potem zmarł, a na rynku pojawiło się mnóstwo złotych precjozów znanych z fotografii gabinetu kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera. Zbieg okoliczności? Raczej trudny do przyjęcia na wiarę.

Jestem raczej przekonany, że gdzieś w połowie kwietnia 1945 roku przeprowadzono „inwentaryzację” skarbów i podjęto ostateczne decyzje. Złoto w sztabach i biżuteria – do zabrania ze sobą, waluty obce, akcje i inne papiery wartościowe – podobnie. Wielkie rozmiarowo dzieła sztuki, trudne do przewozu i sprzedaży – ukryć!

Gdzie? Na Śląsku, a konkretnie w Sudetach.

Dlaczego akurat tu? Są przynajmniej dwa powody. Ta część Śląska była doskonale zagospodarowana. Linie kolejowe, w znacznej części zelektryfikowane, dochodziły do większości nawet tych mniejszych miejscowości i niemalże każdej kopalni czy fabryki. Nawet do tych kopalń, które zostały zlikwidowane jeszcze przed I wojną światową czy tuż po niej. Duża część tych kopalń miała sztolnie wjazdowe. Po co zatem budować jakieś specjalne bunkry, dowozić tam skarby samochodami, rozładowywać transporty setkami rąk przymusowych robotników i więźniów obozów koncentracyjnych, jeśli można wprowadzić wagony bezpośrednio do zapomnianej kopalni? Kilku zaufanych ludzi wystarczy. A potem jedynie zadbać o to, aby wylot takiej sztolni został perfekcyjnie zasypyany, obsadzony roślinnością, stare tory kolejowe rozebrane. Kto nie wie, że to tam, może sobie szukać. Skarby są. Zostały doskonale ukryte i czekają na właścicieli. W 1945 roku nie było kogo pytać. Bogatsi niemieccy gospodarze uciekli, kto został – i tak został wysiedlony do Niemiec. Zresztą wprawdzie należało sprowadzić na te ziemie wysiedleńców z dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i zadbać o należyte „umocnienie młodej władzy ludowej”. No i trzeba było uszanować „braterską Armię Czerwoną”, która przeszukiwała Śląsk i brała, co chciała. Choć akurat o odkryciu przez Sowietów jakiegoś wielkiego skarbcza Rzeszy żadnej informacji nie ma. To daje nadzieję, że skarby

wciąż są tu ukryte. Tyle, że równie dobrze mogą być w czeskiej części Sudetów. Po 1938 roku Niemcy wygnali stamtąd wszystkich nie-Niemców, w 1945 roku Czesi wypędzili Niemców i wszystkich, którzy z nimi kolaborowali. Tam też infrastruktura kolejowa była (i pozostała) doskonale rozwinięta, a świadków brak.

Z całą pewnością ziemia wciąż kryje sporo „małych rodzinnych skarbów”. Skąd takie podejrzenie? No cóż, choćby historia związana z pewnym hotelem w pobliżu Jedliny Zdroju. Przez lata wykorzystywany przez spółdzielnię rolniczą. Zaniedbany, zdewastowany, przez wiele lat stał pusty. Aż został sprzedany. Prywatni właściciele odbudowali pałac, otworzyli w nim dość elegancki hotel i... Nagle ni stąd ni z owąd w restauracji pojawiła się stara porcelana zdobiona herbem rodu, którego własnością tenże pałac do 1945 roku pozostawał. Są też, ale to na specjalne okazje, piękne złoczone sztuce. Też zdobione herbem owej rodziny. Wieść gminna niesie, że przyjechali „dawni” właściciele, weszli w spółkę z nowymi, coś tam wydobyli i przekazali jako aport rzeczowy na hotel, ale co wywieźli?

Takich skarbów muszą być wielkie ilości. Niemcy byli wręcz przekonani, że ta część Śląska zostanie w granicach państwa niemieckiego. Dlaczego? Zapewniali ich o tym angielscy dyplomaci. Ależ tak, to nie jest błąd. Przede wszystkim trzeba sobie uświadomić, że od połowy XIX wieku kontakty między Anglią a państwami niemieckimi (bo jest ich przed zjednoczeniem w cesarstwo kilkanaście większych i Bóg raczy wiedzieć ile tych mniejszych księstw, hrabstw, miast-państweczek...) są bardzo intensywne. Anglo-saksońskie, jak to określają Anglicy, małżeństwa w świecie arystokracji i wzajemne inwestycje w gospodarce. W 1933 roku Anglicy są potężną grupą akcjonariuszy czy udziałowców w dolnośląskim przemyśle, nawet i tym zbrojeniowym. W 1936 roku, gdy w Niemczech uchwalane są ustawy norymberskie, wspólnicy z obu krajów dogadują się bez najmniejszego problemu. Wracają do starej, wypróbowanej w czasie I wojny praktyki. Ich akcje i udziały przejmują w zarząd kancelarie adwokackie z Zurychu, Berna czy Genewy. Majątku reprezentowanego przez Szwajcarów nikt w czasie wojny nie znacjonalizuje. A ich prawdziwi właściciele, via szwajcarskie banki, będą otrzymywać należne im dywidendy. No może pomniejszone o koszty szwajcarskiej obsługi. Anglicy będą znów zarabiać na każdej bombie, która spadnie na ich miasta, na każdym niemieckim pocisku wystrzelonym w stronę ich żołnierzy. Podobnie Niemcy zarobią na zniszczeniach, które spadną na ich kraj za sprawą Anglików.

W trakcie wojny sprzymierzeni zaczynają rozmawiać o przyszłym porządku w powojennej Europie, o strefach wpływów, o granicach. Churchill, od samego początku, będzie sugerować, aby Dolny Śląsk był brytyjską strefą okupacyjną. Jeszcze w Jalcie będzie widział polsko-niemiecką granicę na Odrze i Nysie, ale tej Kłodzkiej. Dopiero w Poczdamie Stalin pokaże palcem na Nysę Łużycką i powie, że tu stoją polskie dywizje i tu będzie granica. Ale jeszcze na wiosnę 45 roku Anglicy są pewni, że ich strefa okupacyjna obejmie właśnie Dolny Śląsk. To ważne. Nie tylko politycznie dla Churchilla i jego rządu. Ważne przede wszystkim dla tych, którzy dają pieniądze na kampanię wyborczą konserwatystów, a ta miała mieć miejsce przed lipcowymi wyborami w 1945 roku.

Dla angielskich przedsiębiorców zachowanie status quo w stanie posiadania na Śląsku to w wielu wypadkach być albo nie być ich firm. Akcje i udziały to cenna pozycja w bilansie ich własnych położonych w Anglii firm, podobnie jak przychody z dywidend. Bez tego majątku wartość ich firm drastycznie spadnie a wraz z nią zdolność kredytowa. Dlatego angielscy przemysłowcy i finansisci

naciskają na Churchilla, by ratował Śląsk dla Niemiec i Anglii a angielska dyplomacja zapewnia niemieckich dyplomatów, jak choćby wspomnianego w jednym z wcześniejszych odcinków Herbert von Dirksen z Grodzka czy Franz von Papen, wicekanclerz w pierwszym rządzie Hitlera z 1933 roku, że Śląsk będzie niemiecki pod brytyjską okupacją.

Dla śląskich bogaczy to bardzo ważna informacja. Nie ma co wywozić majątku gdzieś daleko, do Bawarii czy w Góry Harzu, lepiej ukryć je na miejscu. Rodzinne skarby: złota biżuteria, sztuce, klejnoty, zabytkowa porcelana i dzieła sztuki spoczną w doskonale przygotowanych skrytkach. Byle przeczekać okres wojennej zawieruchy, potem wszystko wróci do normalności. Będzie można wrócić, otworzyć skrytki i korzystać ze swego, jak dawniej. Tylko ci Sowieci... Wejdą, będą szukać, gwałcić, torturować. No dobra, przed Sowietami trzeba zwać gdzieś nad Ren. Tam, gdzie będą Amerykanie albo Anglicy. I tam przeczekać. Jak nie będą mieli kogo przesłuchiwać, to i niczego nie znajdą. Skarby będą bezpieczne.

Jest takie powiedzenie, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Więc na wszelki wypadek trzeba powstrzymać Armie Czerwoną przed wejściem na Śląsk z działaniami wojennymi. Ależ tak, to możliwe, Sowietów się zatrzyma, nie ma obawy. Panowie uzgadniają pewien bardzo nieoficjalny plan. Feldmarszałek Schörner dostanie takie zaopatrzenie dla Grupy Armii Mitte, aby utrzymać Sudety pod swoim panowaniem aż do końca wojny. A może nawet kilka dni po kapitulacji, w końcu trzeba dać Brytyjczykom czas, by ich jednostki na ten Śląsk weszły.

Ale początek maja 45 niweczy te nadzieje. Brytyjskie oddziały zostają po zachodniej stronie Łaby, a jeśli wcześniej weszły na teren Czech czy Austrii, posłusznie się stamtąd wycofują. Ich dowódcy mają na mapie narysowaną linię, do której ma sięgać sowiecka strefa wpływów. I bardzo lojalnie wykonują rozkazy. Wojska Schörnera znajdują się w absolutnie najdziwniejszej sytuacji. Niby jeszcze mogą walczyć, niby ciągle panują nad potężnym obszarem od Sudetów Środkowych po szwajcarską granicę, ale dalszy opór nie ma już sensu. Ko miał się z oblężonego i już zajętego przez Rosjan Berlina wydostać, jest już w Szwajcarii. Pociągi ze złotem i skarbami także. Ale takiej ilości żołnierzy niemieckich Szwajcarzy u siebie nie chcą. Kapitulujcie i poddawajcie się. Sowietom, Amerykanom czy Brytyjczykom – to już wasz wybór. Szwajcarzy wiedzą, co robią. Pozwolili wjechać na swój teren ludziom najbardziej poszukiwanym. Wprawdzie przybyli pod innymi nazwiskami, na paszportach Watykanu, Międzynarodowego Czerwonego Krzyża czy krajów Ameryki Południowej, ale Szwajcarzy doskonale wiedzą, kto do nich przyjechał. Za milczenie zażądają zapewne nielicznej opłaty. Nie ulega wątpliwości, że dostali. Ich banki także zarobiły na prowizjach za spieniężenie złota w sztabach.

Churchill okazał się zbyt słaby. Zapłacił za to odsunięciem od władzy. Nawet nie doczekał końca konferencji w Poczdamie.

Skarby zatem zostały ukryte i, w większości, do dziś nie zostały odnalezione. Jest czego szukać, ale niekoniecznie jest to zadanie bezpieczne. I nie chodzi mi o miny. Ci, którzy ukrywali majątki rodzinne, min do dyspozycji nie mieli. Armia też raczej zwykłych min nie stosowała. Nie po to ukrywa się bezcenne dzieła sztuki czy kosztowności, aby to wszystko zostało zniszczone przypadkowym wybuchem. Bo zwykła mina jest wrażliwa na wilgoć i niską temperaturę, a przecież w kopalnianych sztolniach czy podziemiach starych fabryczek jest i wilgotno i zimno...

Niebezpieczeństwa upatruję gdzie indziej. Jerzy Rostkowski w swojej książce „Podziemia III Rzeszy. Tajemnice Książa, Wałbrzycha i Szczawna Zdroju” opisuje przypadek eksploratorów, którzy próbowali wejść w podziemia wałbrzyskiego mauzoleum. Przywieźli sprzęt, rozpoczęli przeszukiwanie podziemi i nagle pojawiło się kilku smutasów, którzy machnęli jakimiś legitymacjami którejś ze służb specjalnych i nakazali wyniesienie się z tego miejsca. Poszukiwania bez pozwolenia są nielegalne, a pozwolenia bez zgody „właściwego organu” nikt nie uzyska. Oczywiście tenże organ zgody nigdy nikomu jeszcze nie wydał.

Miałem przyjemność być uczniem jednego z najlepszych przewodników PTTK, pana Jerzego Boruckiego ze Szczawna Zdroju. Na przełomie lat 60-tych i 70-tych był pierwszym polskim kustoszem Zamku Książ. Wprawdzie do zwiedzania udostępnione były tylko tarasy i park, ale i po pustych, wówczas jeszcze wciąż noszących ślady wojennych zniszczeń komnatach można było chodzić. Natomiast wejście w podziemia... No niby można było. Ale w pierw pan Borucki musiał to zgłosić „u naukowców” pracujących w tym laboratorium geofizycznym, które odnotowuje ponoć wszystkie trzęsienia ziemi na świecie. Tyle, że naukowcy przyjeżdżali tam rzadko, natomiast stały dyżur pełnili ludzie z безпеکی. Mieli ponoć takie urządzenia, że słyszeli każdy krok w tych podziemiach. Czekali ponoć na kogoś, kto przybędzie w okolice Książa, wejdzie w podziemia ukrytym przejściem i będzie chciał wykuć jakąś dziurę w ścianie, aby dostać się do ukrytego skarbu. A że coś tam jest ukryte, wątpliwości nie ulega.

Właśnie u p. Boruckiego miałem okazję poznać człowieka, który podziemia pod Książem budował, ale nie te, które są znane. Był jeńcem z obozu w Srebrnej Górze. Jesienią 39 roku, gdy w kazamatkach srebrnogórskiej twierdzy lód zaczął pokrywać ściany, dostał propozycję z gatunku „nie do odrzucenia”. Przeniesienie do innej, jeszcze zimniejszej kazamaty, albo... praca budowlana. I tak pod koniec listopada 1939 roku pan K. został przeniesiony do filii Oflagu VIII B w Klein Salzbrenn, dziś wałbrzyskiej dzielnicy Szczawienko. Przedwojenny technik budowlany, z dyplomem mistrza w rzemiośle budowlanym. Twierdził, że tych podziemi nie zna, że ich nie budował. I wyjaśnił, zapytany o to, że każdy mistrz budowlany ma w zwyczaju znaczyć swoją robotę. Wystarczy dwa gwoździe wbite w deskę szalunkową, tworzące znak X albo znaku =. On stosował coś na kształt litery L. Zawsze w desce tak na wysokości metra nad ziemią. Gdzieś tak w połowie długości deski szalunkowej. Taki znak odbity w zastygłym betonie przetrwa wraz z konstrukcją do samego jej końca. Ale nie, nie znalazł. I, co ciekawe, pan K. twierdził, że mieli przynajmniej dwa kilometry tego tunelu zrobione. To znacznie więcej niż to, co zostało oficjalnie odkryte. Jak to możliwe, że nie widział, gdzie pracował? Z Oflagu byli przewożeni do zamku ciężarówką. Wsiadali dopiero w podziemiach. Tam szli do windy i zjeżdżali w dół. To była wielka platforma. Na kilkudziesięciu ludzi albo kilka ton ładunku. Tylko takiej windy do dziś w Książu nie odkryto. Ani choćby śladu szybu, którym mogłaby jeździć...

Pan K. pracował w Książu do końca lata 1941. Potem, wraz z innymi jeńcami Oflagu VIII B, został przeniesiony pod Żagań, ale wcześniej przekazywał plac budowy ludziom z organizacji TODT, głównie przymusowym robotnikom z Czech, choć wśród specjalistów byli też Węgrzy i Włosi. O tym też żadnej informacji się nie znajdzie – według oficjalnej wersji prace pod Książem miały się rozpocząć w 1943 roku, w ramach projektu RIESE (olbrzym).

O samym Riese wiadomo bardzo niewiele. Jedyne, w co mogę zaufać, to sprawozdanie Alberta Speera. Według niego na grudzień 1944 było gotowe ok. 94 tysięcy metrów bieżących tuneli

wraz z konstrukcjami dodatkowymi. 94 KILOMETRY podziemi! Wszystko, co do tej pory w różnych miejscach odkryto jest szacowane na jakieś 25 – 26 kilometrów łącznej długości. Brakuje jakieś niespełna 70 kilometrów. To odległość z Książa do np. centrum Wrocławia...

Jest zatem czego szukać.

Jednakże w zbiegi okoliczności nie wierzę. Ludzie z byłej bezpieki, a może i z obecnych służb specjalnych pilnują podziemi Książa. Mają specjalny sprzęt monitorujący. Ludzie z tzw. służb pilnują podziemi wałbrzyskiego „mauzoleum”. Dziś są to być może „byli funkcjonariusze służb”, ale metody „oddziaływania” na opornych mają skuteczne. Okolice samego mauzoleum są zryte biedaszybami, w których od ponad 25 lat miejscowa biedota wydobywa kiepskiej jakości węgiel. Nad tym nikt zapanować nie potrafi. Ale faktycznie, wystarczy wejść do budowli mauzoleum na trochę dłużej, a patrol policji przyjeżdża. Czyli też monitorują.

Ludzie z byłych służb i ich pracownicy pilnowali przez lata Herberta Kloze i zapewne mają oko na miejsce, w którym kiedyś istniała skrytka. Na inne poznane i okradzione przez nich przed laty skrytki zapewne też. Ale nie wszystko odkryli. Bo zaskoczeniem dla wszystkich była sprawa niejakiego Wojtczaka. Mieszkał samotnie, w Walimiu. Nie miał rodziny, uchodził za odludka. Dopiero po śmierci w 1989 roku okazało się, że miał tatuaż SS. W jego domu odnaleziono zamaskowane pomieszczenie, w którym miał mundur SS, komplet niemieckich dokumentów, mapy całego terenu... Kim był, wiedzą jedynie tzw. „służby”, ale do dziś są to akta tajne. Niedostępne. Choć i te służby nie wiedzą, dlaczego pozostał. Czy coś ochraniał? A jeśli tak, co? Tajemnice? A może masowe groby więźniów Groß Rosen, gdyż nie sposób się doliczyć, ilu ich było i co się z nimi stało. Mówi się, że nawet ze dwieście tysięcy więźniów tego uchodzącego za jeden z najbardziej okrutnych niemieckich obozów koncentracyjnych zniknęło przed końcem wojny bez śladu...

Ale też nie można zapominać, że ci, którzy próbowali szukać, byli zniechęceni. Pojawiali się bowiem ludzie „nie wiadomo kto”, ale doskonale wiedzący, z kim mają do czynienia. Groźbami wymuszali zaprzestanie poszukiwań w górach, starych kopalniach, podziemiach niby kompletnie zniszczonych fabryk. Wspomina o tym przywołany już Jerzy Rostkowski, pisał o tym Wojtek Robecki, ludzie z Łużyckiej Grupy Poszukiwawczej.

Są też na Dolnym Śląsku miejsca omijane dalekim łukiem przez okolicznych mieszkańców. Ponoć leżąca w obrębie Boguszowa Góra Kopisko, zwana potocznie Bismarck, jest do dziś pilnowana. Własność prywatna, więc chodzi brysiem z kijem do bejsbola i wszystkich przepędza. A w jej pobliżu leży Dzikowiec. Mówi się, że jest w niej ukryty stary kolejowy tunel, w którym może być pociąg ze skarbami...

Jest takich miejsc w Sudetach bardzo, ale to bardzo wiele. Niektóre, tak jak tytułowa Wielisławka, zryte przez dziesiątki poszukiwaczy, którzy od mniej więcej pół wieku szukają tam swojego szczęścia. Są też takie, o których mówi się, że „legenda głosi”... Legenda wymyślona na potrzeby turystów czy zbiorowa pamięć pierwszych powojennych lat?

Ze swojej strony mogę wszystkim chętnym życzyć powodzenia w poszukiwaniach, ale łatwo nie będzie. To pewne!